Pr. Historii

PISMO PG

PISMO PRACOWNIKÓW I STUDENTÓW POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ

Styczeń 1994

Nr 1/94

Foto: Tadeusz Chmielowiec

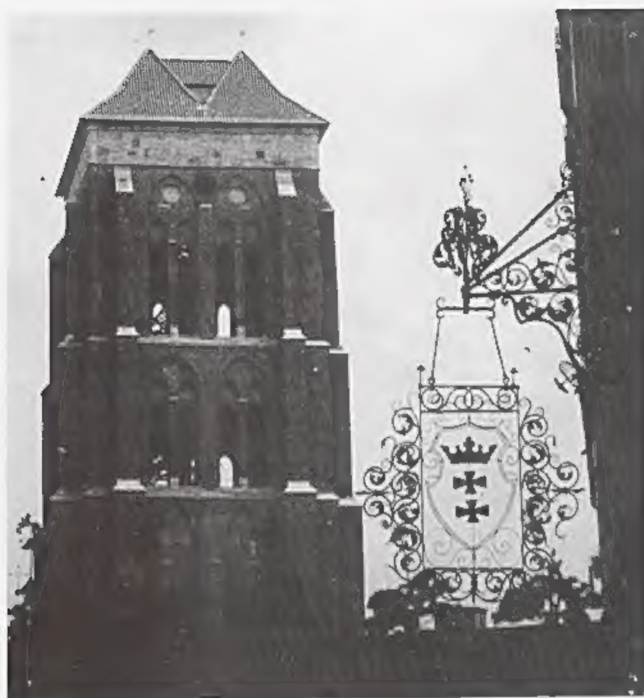

1967 r. *Z Archiwum Kroniki Studenckiej*

„Pismo PG" wydaje Politechnika Gdańska za zgodą Rektora
Ukazuje się nieregularnie

Adres redakcji:
Politechnika Gdańska
Dział Organizacyjno-Prawny
Zespół ds Informacji i Promocji
ul. Narutowicza 11/12, 80-952 Gdańsk
tel. 47 17 09, fax 41 58 21

Zespół Redakcyjny:
Waldemar Affelt (sekretarz), Zbigniew Cywiński, Jerzy Kulas, Jadwiga Lipińska, Bogusław Stybor, Adam Synowiecki, Joanna Szłapczyńska

Stała współpraca:
Kronika Studencka

Opracowanie techniczne i typograficzne:
Andrzej Urban — Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Sopot, tel. 51-81-74

Korekta:
Andrzej Poćwiardowski

Druk:
Biuro Promocji Sztuki „Artex"
Gdańsk

Skład komputerowy w programie Cyfroset nr 8404N

Numer zamknięto 14 stycznia 1994 r.

Spis treści

Pojedyncze egzemplarze pisma można nabywać w punkcie księgarskim w Gmachu Głównym

URYNKOWIENIE WYNIKÓW BADAŃ NAUKOWYCH

W wysoko rozwiniętych krajach świata przywiązuje się ogromne znaczenie do wdrażania wyników badań naukowych. Proces ten, zwany komercjalizacją technologii, realizowany prawidłowo przynosi znaczne korzyści całej gospodarce.

W Polsce o komercjalizacji technologii zaczęto mówić od niedawna. Choć powołano kilka jednostek wspomagających ten proces, to jednak działania te nie mają charakteru systemowego.

W listopadzie 1992 r. zorganizowana została pierwsza polsko-amerkańska konferencja na temat „Komercjalizacji technologii", która odbywała się w Gdańsku, Krakowie i Warszawie. W maju 1993 r. zarejestrowane zostało Polskie Forum Akademicko-Gospodarcze, utworzone przez rektorów sześciu większych uczelni wyższych (Akademia Górniczo - Hutnicza, Politechnika Gdańska, Politechnika Warszawska, Szkoła Główna Handlowa, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytet Warszawski) oraz przedstawicieli prywatnego biznesu (Arthur Anderson Co. SC, Curtis Int., Epstein Eng Export, Ltd.). Głównym celem stowarzyszenia jest działanie na rzecz budowania zrozumienia i współpracy między środowiskami akademickimi i gospodarczymi oraz wspieranie procesów modernizacji gospodarki i szkolnictwa. Stowarzyszenie to jest wzorowane na amerykańskim Business Higher Education Forum, z którym również obecnie współpracuje.

Czy jednak zrobiono wszystko, aby możliwości komercjalizacji technologii wykorzystać? Z pewnością nie.

Problemy wdrażania wyników badań naukowych w polskiej gospodarce były szeroko dyskutowane podczas wspomnianej wyżej konferencji oraz podczas seminariów organizowanych w ramach Polskiego Forum Akademicko-Gospodarczego.

Nie ulega wątpliwości, że poziom nauki polskiej w wielu dziedzinach jest bardzo wysoki. Może on, i powinien, stanowić jeden z najważniejszych stymulatorów przyszłego rozwoju gospodarczego. Jego warunkiem jest przetwarzanie wyników badań naukowych w technologie i wyroby, które osiągną poziom światowy i na tym wymagającym rynku zostaną zaakceptowane.

Komercjalizacja technologii jest procesem bardzo złożonym. Wymaga współdziałania instytucji państwowych (krajowych i regionalnych), badawczych i przemysłowych, a także finansowych. Każdy nowy pomysł czy nowa idea, obarczona większym lub mniejszym ryzykiem, wymaga znalezienia sponsora gotowego to ryzyko ponieść (a w przyszłości osiągnąć efekty). Wymaga też znalezienia instytucji, najczęściej poza miejscem prowadzenia badań naukowych, w której pomysł ten zostanie doprowadzony do stanu gwarantującego wdrożenie, a wreszcie firm gotowych podjęcia się produkcji wyrobów najwyższej jakości (tzw. Hi-Tech).

Badania naukowe na świecie prowadzone są zwykle ze środków budżetowych (od 20% w Szwecji do 57% we Francji) oraz środków pochodzących z przemysłu (od 43% we Francji do 80% w Szwecji). Środki te mogą też pochodzić z komercjalizacji technologii. Stosowane są różnego rodzaju zachęty do inwestowania w badania naukowe, pozwalające na sterowanie nimi. Do zachęt tych należą między innymi: subsydiowanie nowych technologii oraz badań podstawowych, stosowanie ulg podatkowych, traktowanie badań naukowych jako inwestycji o dużym stopniu ryzyka, polityka licencyjna, sponsorowanie stypendiów, inwestowanie w rozwój centr innowacyjno-wdrożeniowych oraz parków naukowych, wspomagających komercjalizację technologii. Wykorzystuje się też fundusze przeznaczone na zmniejszanie bezrobocia.

Doświadczenia krajów rozwiniętych wykazują, że samo istnienie wolnego rynku nie jest warunkiem wystarczającym dla rozwoju procesu komercjalizacji technologii. Takie potęgi jak: USA, Japonia, Niemcy, Anglia i Francja - oprócz tego, że znacznie większą niż u nas część swojego budżetu przeznaczają na badania naukowe - przywiązują ogromną wagę do budowy infrastruktury umożliwiającej przetwarzanie wyników badań naukowych w realne efekty ekonomiczne. Na drodze urynkowiania wyników badań naukowych lokowane są takie instytucje jak: centra technologii, inkubatory przedsiębiorczości, centra działań o wysokim stopniu ryzyka, centra doskonalenia jakości produkcji, agencje rozwoju, a wreszcie fundacje oraz prywatne i państwowe fundusze do podejmowania działań o wysokim stopniu ryzyka. Uczelnie wyższe w tych krajach „obrośnięte" są różnego rodzaju małymi, często prywatnymi instytucjami, w których wyniki badań naukowych przetwarzańę są tak, aby umożliwić ich wdrożenie lub zmniejszyć związane z tym ryzyko. Praktyka wskazuje, że najlepsze wyniki osiąga się wtedy, gdy twórca przechodzi do takiej instytucji na czas wdrażania swojego pomysłu.

Powszechnie wiadomo, że badania naukowe w Polsce są źle finansowane. Środki, jakie przeznacza się na badania naukowe są znacznie niższe niż w innych krajach, biorąc pod uwagę także ich udział w budżecie państwa. Ponadto, w ostatnich latach ich realna wartość ciągle ulega zmniejszaniu. Według danych Ministerstwa Edukacji Narodowej porównywalne środki przeznaczone na badania naukowe w 1990 roku były o 27% mniejsze w stosunku do roku 1989, zaś w latach 1991 i 1992 były mniejsze odpowiednio o: 67% i 32%. Wynika to nie tylko ze złego stanu budżetu państwa, ale przede wszystkim z braku zrozumienia przez osoby decydujące o finansach państwa tego, że środki zainwestowane w badania naukowe istotnie stymulują rozwój gospodarczy i bardzo szybko zwracają się.

W ostatnich latach zmniejszyły się też znacznie środki na badania naukowe pochodzące z przemysłu. Przykładowo w budżecie Politechniki Gdańskiej (w innych uczelniach jest z pewnością podobnie) udział badań naukowych realizowanych w roku 1985, wówczas głównie dla przemysłu, spadał z około 50% do 15% w roku 1991, a w roku 1992 do 10%. Spadł również udział badań naukowych realizowanych ze

środków budżetowych (badania własne, badania statutowe, granty KBN). Wynosił on w 1991 roku 27%, zaś w roku 1992 już tylko 17%.

Ponadto, środki otrzymywane z MEN nie są wystarczające dla pokrycia wszystkich wydatków związanych z dydaktyką. W szkolnictwie wyższym w 1992 roku były one niższe o około 45% w cenach porównywalnych w stosunku do roku 1989. Zmusza to uczelnie do wspomagania dydaktyki poprzez dofinansowanie z i tak skromnych środków przeznaczonych na prowadzenie badań naukowych.

W tej sytuacji wydaje się konieczne stosowanie zachęt w postaci uruchomienia odpowiednich mechanizmów legislacyjnych, które spowodują większe zaangażowanie kapitału prywatnego w badania naukowe.

W przeszłości państwo dawało stosunkowo duże środki na tzw. badania stosowane. Nie były one jednak rozliczane na podstawie wdrożeń, co stało się powodem ich ogromnego marnotrawstwa. Osoby decydujące o finansach państwa przekonać można do finansowania badań naukowych przez pokazanie ich skuteczności. Jak dotąd, otaczająca nas rzeczywistość tego nie potwierdza. Aby efekty z wdrożeń badań naukowych były widoczne, konieczne jest zapewnienie niezbędnej infrastruktury służącej komercjalizacji technologii. W Polsce infrastruktura taka praktycznie nie istnieje. Brakuje szeregu instytucji i mechanizmów wspierających ten proces. Dopiero w ostatnich latach tworzone są instytucje, których zadaniem jest wspieranie komercjalizacji technologii. Jednakże owe inkubatory przedsiębiorczości, centra innowacyjne i parki naukowe są nieliczne, mają krótką historię i różne doświadczenia. Pewnymi sukcesami mogą się już poszczycić: Centrum Rozwoju Przedsiębiorczości w Politechnice Warszawskiej, Centrum Badań Wysokociśnieniowych PAN w Warszawie, a także Gdańskie Centrum Innowacyjne. Bez zapewnienia współpracy z władzami, przede wszystkim regionalnymi, lokalnymi i samorządowymi, a także bez współpracy z instytucjami finansowymi mogą one przeżywać spore kłopoty, zanim rozpoczną właściwą działalność.

W USA pomoc władz regionalnych, lokalnych i samorządowych polega na zapewnieniu terenów i lokali na centra, parki i inkubatory, określeniu strategii i kierunków badań, wsparciu finansowym przez udzielanie gwarancji kredytowych inwestorom bądź kierowaniu własnych środków przeznaczonych na tworzenie nowych miejsc pracy. Dla wymiany informacji o potrzebach i możliwościach władze organizują spotkania osób biorących udział w procesie komercjalizacji technologii. Bardzo ważnym jest budowanie pomostu między pracownikami nauki i szkół wyższych, a potencjalnymi odbiorcami z przemysłu. Przedstawiciele przemysłu często narzekają na brak skutecznej informacji o rozwiązaniach, którymi dysponują uczelnie.

Przy małych nakładach na badania, konieczna jest koncentracja środków. W polskiej praktyce ulegają one rozproszeniu, gdyż badania prowadzone są w zbyt wielu jednostkach. Prowadzą je uczelnie (tu są one niezbędne dla prawidłowego przebiegu procesu dydaktycznego), instytuty PAN, instytuty naukowo-badawcze, instytuty przemysłowe itp.

W tej sytuacji środki na badania naukowe winny być kierowane do najlepszych jednostek prowadzących badania - rozdzielane w drodze obiektywnie przeprowadzanych konkursów oraz kierowane na właściwe, strategiczne cele we właściwych proporcjach między badaniami podstawowymi i stosowanymi. Poniesione nakłady powinny być wnikliwie kontrolowane i surowo oceniane . Konieczna jest ocena uzyskiwanych wyników badań na podstawie wdrożeń na poziomie światowym. Należy dobrze oceniać autentyczne wyniki badań w przeciwieństwie do tych, które jedynie idą na przysłowiową półkę.

Prowadzone badania często nie są skoordynowane i brak jest rzeczywistej kontroli wykorzystania środków, głównie na działalność statutową. Niedostateczna jest liczba poważnych projektów zamawianych przez rząd, władze regionalne, lokalne i samorządowe, w rezultacie czego grozi nam nadal uprawianie „nauki dla nauki". Oceniana powinna być również trafność podejmowanych decyzji finansowych.

W USA bardzo łatwo można pozyskać katalogi tematów prac zamawianych przez władze różnych szczebli, o realizację których w drodze konkursów ubiegać się mogą wszyscy.

Wszystko to powoduje, że środki ze skromnego budżetu państwa (o czym dużo pisze się i dyskutuje) są często źle wykorzystywane (o tym mówi się już znacznie mniej). Zbyt mało środków pochodzi z prywatnych firm i banków, które wspierałyby badania naukowe. Jednostki prowadzące badania naukowe, w obecnej trudnej sytuacji gospodarczej liczą na finansowanie z budżetu państwa, mimo że efekty badań prowadzonych w niektórych z nich w coraz większym stopniu służyć będą prywatyzującemu się przemysłowi. Tu potrzebne są regulacje prawne, traktujące naukę całościowo oraz określające cele, zadania i sposoby jej finansowania. O tym mówi się od dłuższego czasu, ale efektów nie widać. Nie musi to być jedna ustawa, ale system ustaw regulujących całość.

Pierwsze kroki w tym kierunku zostały wykonane. Powołano Komitet Badań Naukowych, który oceniany jest na ogół pozytywnie. KBN przyznaje środki na badania w drodze konkursów, a także ocenia jednostki pod względem osiągnięć naukowych. System ten należy doskonalić, a oceny obiektywizować. KBN winien opracować strategię prowadzonych badań, zachęcając do realizacji prac zamawianych, niezbędnych gospodarce i społeczeństwu. Pożądana wydaje się współpraca KBN, sejmików gospodarczych, władz krajowych i lokalnych, a także zapewnienie właściwego obiegu informacji między zainteresowanymi.

Oddzielnym problemem jest proces kształcenia przyszłych kadr inżynierskich. W procesie tym znacznie większą uwagę należy przykładać do praktycznej przydatności prac projektowych, przejściowych, a przede wszystkim dyplomowych. Wymaga to znacznie silniejszych związków kadry nauczającej z gospodarką. Wielokrotnie w USA obserwowałem silny związek tego, nad czym pracują studenci, z potrzebami gospodarki, a także częste wdrażanie wyników ich pracy. W Polsce ten ogromny potencjał intelektualny, jaki stanowią studenci wyższych lat studiów, jest najczęściej marnowany. Niestety, do nielicznych wyjątków potwierdzających ten stan należy sukces studentów Politechniki Warszawskiej, pracujących nad światowej klasy szybowcem PW-5.

Komercjalizacja technologii może dać ogromne szanse polskiej gospodarce, stanowiąc jeden z istotnych stymulatorów jej przyszłego rozwoju. Należy ją mocno wspierać, organizując m.in. kompleksową współpracę instytucji państwowych (głównie regionalnych, lokalnych i samorządowych), finansowych i prowadzących badania naukowe.

Prof. Edmund WITTBRODT
Rektor Politechniki Gdańskiej

TEORIA CZY PRAKTYKA,

CZYLI CO DALEJ Z PROGRAMEM NAUCZANIA

W swojej już przeszło czterdziestoletniej pracy nauczyciela akademickiego i inżyniera, autor — jako profesor Politechniki Gdańskiej, Uniwersytetu w Mosulu (Irak) i Uniwersytetu w Tokio (Japonia), a także jako projektant i konsultant Uniwersytetu w Bagdadzie (Irak) i ekspert UNESCO ds. kształcenia nauczycieli technicznych w Mogadiszu (Somalia), miał okazję dobrze poznać studentów i inżynierów budownictwa, reprezentujących ludy wielu kultur i funkcjonujących w różnych systemach kształcenia i warunkach życia zawodowego. Doświadczenia te zwykle rodziły podstawowe pytanie — jak należy modelować proces kształcenia, aby uzyskać optymalną zawodowo osobowość inżyniera; w szczególności aktualny stawał się problem wpływu wzajemnej relacji ładunku teorii i praktyki, lub też proporcji profilu ogólnego i szczegółowego w programie nauczania.

Charakterystycznym w tej sprawie zdaje się być fakt, że absolwenci ogólnokształcących szkół średnich byli, najczęściej, lepszymi studentami uczelni wyższych, aniżeli ci wywodzący się ze szkół średnich zawodowych — mimo że ci ostatni, początkowo, okazywali dojrzalszą znajomość specyfiki przyszłego zawodu inżyniera budownictwa. Następnie, przyglądając się pracy już ukończonych inżynierów budownictwa, można było też stwierdzić, że ci mający solidną podstawę teorii byli z reguły lepiej przygotowani do rozwiązywania różnych problemów zawodowych, nawet tych najbardziej praktycznych. Trzeba było sobie postawić pytanie — czy mają rację Gustav R. Kirchhoff i Wilhelm Ostwald (Nobel 1909) wyrażający opinię, że nie ma nic bardziej praktycznego od dobrej teorii?

Słowo „inżynier" pochodzi od łacińskiego „ingenium", co oznacza ducha, geniusza, siłę odkrywczą, lub bystrość umysłu. W tej konwencji inżynier powinien być obdarzony wyróżniającym się potencjałem intelektualnym, jako pierwszym źródłem swego działania praktycznego. Z tego punktu widzenia, aplikowanie kształcenia zorientowanego li tylko na wymogi czystej praktyki stwarza niebezpieczeństwo niedorozwoju tego potencjału, budując inżyniera o bardzo jednostronnym i wąsko ukształtowanym spojrzeniu. Równocześnie też, edukacja nastawiona wyłącznie na praktykę dnia dzisiejszego nie jest w stanie sprostać, kompetentnie, wyzwaniom niewiadomego jutra. Dlatego też dzisiejsze kształcenie każdego inżyniera, a inżyniera budownictwa w szczególności, powinno koncetrować się, przede wszystkim, na ogólnej istocie danego kierunku, a mniej na jego detalach — dostarczając nie tylko niezbędnych informacji technicznych, ale także ucząc — jak należy je w sposób twórczy pożytkować dla wszechstronnego zabezpieczenia narastających potrzeb społecznych. Równocześnie, formowanie praktycznych umiejętności studenta nie powinno, jako i tak bardzo zubożone, odbywać się w toku studiów na uczelni wyższej, ale być rozumiane jako integralna, ważna część jego rozwoju zawodowego po studiach. Mając na studiach dobrze rozbudzone przymioty intelektualne, będzie on w stanie prawidłowo ustawić się do każdej potrzeby praktyki inżynierskiej.

Takie widzenie modelu kształcenia inżyniera budownictwa ma swoich zwolenników i przeciwników. Ci drudzy często używają argumentu, że kształcenie musi stale wychodzić naprzeciw konkretnym potrzebom praktyki inżynierskiej i dlatego powinno zawierać wiele nowych przedmiotów, w możliwie pokaźnym wymiarze godzinowym, właściwych dla współczesnego stanu projektowania, wykonawstwa i zarządzania. Technika rozwija się jednak tak szybko, że te przedmioty musiałyby być wkrótce uzupełniane jeszcze nowszymi i program kształcenia byłby w stanie permanentnego „tycia". W tych warunkach najpopularniejszym, a zarazem najbardziej rewolucyjnym „remedium" staje się eliminacja lub też znaczne ograniczanie obszaru podstawowych przedmiotów teoretycznych, z matematyką na czele; są to zawsze przedmioty wymagające zwiększonego udziału logiki rozumowania, której „cena rynkowa" zdaje się być społecznie niska. Tymczasem ta właśnie umiejętność ćwiczy tak potrzebny inżynierowi intelekt.

Wydział Budownictwa Lądowego Politechniki Gdańskiej bronił się do tej pory, dość skutecznie, przed tak skrajnie pojętą reformą programową, ale tendencje takie dają się zauważyć, także w skali uczelni. Prawidłowemu ujęciu tych spraw nie sprzyja jednak brak jednolitego systemu kształcenia dla całej szkoły — pod względem typu, czasu trwania i wzajemnego powiązania w czytelny układ studiów inżynierskich, magisterskich i doktorskich.

Dyskutowane tu sprawy są, od szeregu już lat, przedmiotem szczególnego zainteresowania za granicą. W niemieckich uniwersytetach technicznych panuje przekonanie, że nauczanie nie może ograniczać się do informacji, ale winno uczyć sztuki myślenia, a więc przykładowo — nie koncentrować się na technice obliczeń, ale na sztuce ich interpretacji. Kształcenie musi być na tyle ogólne, aby nauczany mógł w przyszłości elastycznie dostosować się do każdej potrzeby swego pola działania. Nowości nie

wolno przekazywać na drodze tworzenia nowych przedmiotów nauczania, ale inkorporować je na bieżąco w treści przedmiotów już istniejących, odpowiednio modyfikowanych. Należy przeciwstawiać się tendencjom „praktycyzacji" studiów, bowiem postęp rodzi się w kontestacji praktyki dnia dzisiejszego. Współczesny stan techniki nie może być celem kształcenia, ale służyć jako kanwa dla egzemplifikacji problematyki.

W USA kształcenie inżynierów jest przedmiotem zainteresowania różnych instytucji od wielu lat. W dziale inżynierów budownictwa bardzo szerokie badania prowadzone są tu przez Amerykańskie Stowarzyszenie Inżynierów Budownictwa (American Society of Civil Engineers: ASCE) — począwszy już od r. 1874. W ostatnim czasie organizowane są, kolejno w latach 1974, 1979, 1985 i 1990, specjalne konferencje tematyczne (ASCE Education Conference). Trudno byłoby przedstawić tu wszystkie spostrzeżenia płynące z tych badań; poniżej podaje się zwięźle tylko niektóre:

* Współczesne rozwiązanie zagadnień inżynierskich nie może być dłużej tylko czysto techniczne, ale musi także uwzględniać wiele innych aspektów, określonych przykładowo przez czynniki demograficzne, społeczne, polityczne, ekonomiczne, humanistyczne, itd.
* Dzisiejszy student jest posiadaczem zbioru luźnych informacji wywodzących się z mnóstwa przedmiotów, ale nie potrafi formułować problemów i twórczo ich rozwiązywać; w złożonej scenerii teraźniejszości są to umiejętności niezbędne.
* Studenta trzeba lepiej wykształcić w sensie ogólnym, mniej natomiast przygotowywać specjalistycznie.
* W programie studiów należy kłaść nacisk na przedmioty podstawowe — w szczególności te, które w danej uczelni cechują się wysokim poziomem nauczania.
* Sprawności praktyczne inżyniera (projektowanie, wykonawstwo, zarządzanie, itp.) mogą być rozwijane tylko na etapie jego pracy po studiach.

W opinii austriackiej pisarki Marii v. Ebner-Eschenbach, teoria i praktyka tworzą jedność — podobnie jak duch i ciało człowieka; z tego względu przeważnie pozostają w konflikcie. Autor sądzi, że duch powinien trenować ciało, a więc teoria budować praktykę. Jest rzeczą oczywistą, że w wyniku sprzężenia zwrotnego praktyka stymuluje rozwój teorii — tak jak doświadczenia ciała stają się surowcem dla ducha. Tak więc nie tylko „byt kształtuje świadomość", ale — przede wszystkim — świadomość, jako przyczyna sprawcza, powinna kształtować byt. W tych uwarunkowaniach tytułowe pytanie „teoria czy praktyka" znajduje chyba właściwą odpowiedź.

Zbigniew CYWIŃSKI
Wydział Budownictwa Lądowego

POLITECHNIKA OTWARTA
5 lat działalności

Projekt powołania Politechniki Otwartej powstał z inicjatywy pani profesor T. Sokołowskiej. Spotkał się on z uznaniem Senackiej Komisji ds. Kształcenia działającej w latach 1988-1990. Poparł go ówczesny rektor prof. dr hab. B. Mazurkiewicz, a następnie zaakceptował Senat, który powołał Senacką Komisję ds. Politechniki Otwartej w składzie : prof. dr inż. Mieczysław Feld — przewodniczący oraz członkowie: prof. dr inż. arch. Wiesław Anders, prof. dr hab. inż. Michał Białko, prof. dr hab. inż. Tomasz Biernacki, prof. dr hab. inż. Jerzy Hryńczuk, doc. dr inż. Andrzej Januszajtis, prof. dr hab. inż. Jan Kruszewski, prof. dr hab. inż. Teresa Sokołowska, prof. dr hab. Adam Synowiecki, doc. dr inż. Tadeusz Umiński.
Komisja ustaliła, że wykłady otwarte będą prowadzone nie tylko z zakresu techniki, ale również nauk ścisłych, architektury, filozofii i innych dziedzin.

Celem tego przedsięwzięcia zdaniem Komisji byłoby:
— rozszerzenie sfery oddziaływania Politechniki Gdańskiej,
— spowodowanie wzrostu zainteresowania młodzieży studiami technicznymi,
— kontakt z absolwentami Politechniki Gdańskiej,
— rozszerzenie sfery wpływów edukacyjnych Politechniki Gdańskiej,
— przybliżenie Politechniki Gdańskiej społeczeństwu Wybrzeża.

Politechnika Otwarta rozpoczęła oficjalnie swoją działalność w dniu 3 kwietnia 1989 roku. Wygłoszenie pierwszego inauguracyjnego wykładu poprzedziło wystąpienie JM.Rektora prof. dr hab. inż. Bolesława Mazurkiewicza, który w imieniu Władz Uczelni wyraził duże zadowolenie z podjętej inicjatywy. Wykład pt. „Co wiemy o początkach wszechświata" wygłosił doc. dr inż. Andrzej Januszajtis. Wykład ten odbył się przy pełnym audytorium maximum. Od tego dnia w ramach Politechniki Otwartej zostało wygłoszonych 26 wykładów. Gościliśmy nie tylko wybitnych profesorów Politechniki Gdańskiej jak: prof. Anders, prof. Borowski, prof. Cywiński, prof. Doerffer, prof. Lipski, prof. Marecki, prof. Synowiecki, ale również osoby nie związane z Politechniką. Między innymi byłego rektora Uniwersytetu Gdańskiego prof. dr hab. Roberta Głębockiego, rektora Akademi Medycznej w Gdańsku — prof. dr hab. Stefana Angielskiego, wykładowcę Seminarium Duchownego w Gdańsku ks. dr hab. Kazimierza Kloskowskiego.

Zgodnie ze swoim założeniem wykłady obejmowały różne dziedziny wiedzy i w zdecydowanej swojej większości stały na bardzo wysokim poziomie.
Z perspektywy 5 lat można postawić pytanie, czy cele jakie postawiła sobie Senacka Komisja na początku działalności Politechniki Otwartej zostały osiągnięte. Na pewno nie. Wynika to poprostu ze zbyt małej liczby osób biorących udział w wykładach. Można by tutaj doszukiwać się przyczyn tej tak małej frekwencji. Wydaje się, że nie dotyczy ona tylko wykładów, ale różnych dziedzin naszego życia. Można jedynie żywić nadzieję, że wraz ze wzrostem stopy życiowej społeczeństwa, wzrośnie również dążenie do wiedzy. W związku z tym rodzi się następne pytanie, czy mamy zaniechać tej działalności. I tutaj odpowiedź jest tylko jedna. Napewno nie. Uważamy bowiem, że tak długo jak długo przychodzi na wykłady grono osób zainteresowanych, tak długo wykłady powinny być organizowane.

Na początku kadencji 1990/93 rektor Politechniki Gdańskiej prof. dr hab. inż. E. Wittbrodt wystąpił z inicjatywą poszerzenia działalności Politechniki Otwartej o inne formy, takie jak wieczory muzyczne i wystawy.

Działalność Politechniki Otwartej została podporządkowana Komisji Rektorskiej, która rozpoczęła swoją działalność w składzie:

Prof. dr inż. Mieczysław Feld — przewodniczący.

Członkowie: Prof. dr inż. arch. Wiesław Anders, mgr inż. arch. Janusz Gujski, prof. dr hab. inż. Wiesław Pudlik, prof. dr inż. Teresa Sokołowska, prof. dr hab. Adam Synowiecki, doc. dr inż. Czesław Taraszkiewicz.

W trakcie kadencji Komisja Rektorska została poszerzona o: mgr Janinę Ligman i dr Adama Pawlaka. Zrezygnował z pracy w Komisji mgr inż. Janusz Gujski.

W kadencji 1990/93 działalność wykładowa prowadzona była nieprzerwanie. Wznowione zostały Wieczory Muzyczne, prowadzone już przez Politechnikę w latach ubiegłych. Nie odbywały się one regularnie (tak jak wykłady), ale w różnych terminach, w zależności od posiadanych środków i możliwości pozyskania wykonawców. W tym okresie zostały wykonane między innymi takie dzieła jak:

— Msza C-moll Mozarta w wykonaniu chóru Politechniki Gdańskiej i Słupskiej Orkiestry Kameralnej,
— Requiem d-moll Mozarta w wykonaniu orkiestry symfonicznej Filharmonii Bałtyckiej i Scholii Cantorum Gedanensis,
— Muzyka dawna oraz muzyka cerkiewna w wykonaniu Capelli Gedanensis oraz chóru Kameralnego Continuo,
— Koncert Chopinowski w wykonaniu Yoshimi Tsubaki (Japonia)
— Sabat Mater Rossiniego.

Koncerty muzyki poważnej, których była zdecydowana przewaga, były od czasu do czasu przeplatane muzyką lekką lub koncertami okolicznościowymi. Przykładowo w okresie świąt gwiazdkowych organizowany jest każdego roku wieczór kolęd.

Ogółem odbyło się 14 koncertów. Spotkały się one z bardzo życzliwym przyjęciem przez słuchaczy, czego dowodem były gromkie oklaski i liczne bisy. Wszystkie koncerty odbywały się przy pełnej auli PG, niekiedy nawet z dodatkowo dostawianymi miejscami. Ten fakt wskazuje wyraźnie na celowość kontynuowania tej działalności.

Organizacja wystaw jest najtrudniejszym zadaniem jakie zostało postawione przez Komisję ds Politechniki Otwartej. Wynika to z faktu dużych starań dla pozyskania określonych zbiorów, następnie ich odpowiedniego eksponowania. Duże zasługi w tym zakresie ma Biblioteka Główna, która pod kierunkiem jej dyrektora pani mgr Ligman z własnych zbiorów zorganizowała szereg wystaw, między innymi:

— Wystawę w ramach cyklu „Z historii Politechniki Gdańskiej" zorganizowano z okazji zjazdu Koła byłych studentów-Polaków z lat 1904 — 1939,
— Wystawę poświęconą życiu i pracy naukowej prof. D. Tilgnera z okazji wręczenia Mu doktoratu honoris causa,
— Wspólnie z Wydziałem Architektury zorganizowana została wystawa „Dawne meble politechniki z lat 1904 — 1945",
— Wystawę „Societas physicae experimentulis — 250 lat", zorganizowano z okazji rozpoczęcia sesji naukowej w 250 rocznicę założenia Gdańskiego Towarzystwa Przyrodniczego.

Kilka bardzo interesujących wystaw zostało zaprezentowanych w holu przed aulą. Ich organizatorami byli prof. zw. dr inż. arch. Wiesław Anders oraz mgr inż. arch. Janusz Gujski. Do ciekawszych z nich należy zaliczyć:

— Wystawę twórczości architektonicznej laureata honorowej nagrody SARP w roku 1991 — architekta Szczepana Brauna,
— Kościoły romańskie w Burgundii,
— Prace studentów i nauczycieli akademickich Katedry Urbanistyki. Na wystawie tej zaprezentowano studia i koncepcje kształtowania miast Polski północnej,
— Wielkie realizacje Paryża.

W klubie pracowników Politechniki Gdańskiej organizowane są od dłuższego czasu wystawy obrazów, grafiki i gwaszy. Między innymi w ostatnim okresie można było się tam zapoznać z gwaszami i rysunkami Janusza Dembowskiego, z grafiką Waldemara Woźniaka oraz z gwaszami Marka Wróbla. Ta część ekspozycji znajduje się pod opieką dr Adama Pawlaka.

Podsumowując działalność Politechniki Otwartej można stwierdzić, że w życiu akademickim Politechniki Gdańskiej znalazła ona swoje miejsce. Jest to tym bardziej godne podkreślenia, że Politechnika jako uczelnia techniczna potrafiła wyjść z taką inicjatywą do społeczeństwa Wybrzeża i do całej społeczności akademickiej. Jest to niewątpliwie zasługą poprzedniego i obecnego kierownictwa uczelni, które wspierało tę działalność, nie tylko poprzez wyrazy uznania i zachęty, ale również finansowo.

Mieczysław FELD

Przewodniczący Rektorskiej Komisji ds. Politechniki Otwartej

REKTOR I SENAT
POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ

zapraszają na koncert z cyklu
POLITECHNICZNE WIECZORY MUZYCZNE

w ramach
POLITECHNIKI OTWARTEJ

KOLĘDY

Wykonawcy:
Chór Radia PLUS „NON SERIO"
pod kierownictwem Beaty PAWLAK
Mikołaj Trzaska — saksofon
Cezary Paciorek — fortepian
Jacek Olter — insrtumenty perkusyjne
Olgierd Walicki — kontrabas

w programie:
KOLĘDY POLSKIE, ANGIELSKIE, AMERYKAŃSKIE

Koncert odbędzie się w poniedziałek 17 stycznia 1994 roku o godzinie 18^{00} w holu przed Aulą Politechniki Gdańskiej

sponsor: SMART Computer Systems — OPTIMUS Dealer

Nie przyszliście, to żałujcie...

SYSTEMY EDUKACYJNE W POLSCE I W USA

Nie będą to zalecenia typu przepisów z książki kucharskiej a raczej refleksja nad systemami oświatowymi w pozornie odległych krajach świata, które w wyniku uwarunkowań historycznych oraz rozwoju techniki, bardzo się do siebie zbliżyły, aż do nakładania włącznie.

Szkolnictwo polskie wyraźnie przewyższa szkolnictwo amerykańskie pod względem programowym i zakresem przekazywanych treści. Pod względem organizacyjnym, aczkolwiek przypomina w pewnym zakresie swój amerykański odpowiednik, wymaga jednak przeorganizowania w sensie istoty celów. Polski system oświatowy obciążony jest bowiem balastem głównie ostatniego półwiecza, w którym wszystko starano się rozwiązać metodą nakazów administracyjnych, zaś podejmowane próby zmian w gruncie rzeczy sprowadzały się do zmian pozornych. Tymczasem nie o pojedyncze zmiany chodzi i naśladownictwo poszczególnych rozwiązań stosowanych w konkretnych szkołach lub uczelniach amerykańskich, ale o przeniesienie filozofii kształcenia.

System amerykański powinien być traktowany jako wzór do naśladowania, ale winien uwzględniać tylko najlepsze elementy, w szczególności pod względem zrównania uprawnień szkół państwowych i społecznych (prywatnych). To, że państwo poprzez wyższe dotacje preferować będzie „swoje" szkoły jest chyba naturalne; niezbędne jest przy tym, aby nie przeszkadzało w dowolnym subwencjonowaniu szkół prywatnych przez swych udziałowców i zwolenników. Na całym świecie w skali masowej szkoły państwowe lub centralnie subwencjonowane cieszą się ogólnym wzięciem ze względu na wysoki poziom nauczania.

Najbardziej godną uwagi cechą amerykańskiego systemu edukacyjnego jest jego duża elastyczność i otwartość. Nawet na wielu wyższych uczelniach istnieje kilkustopniowe nauczanie, każde stanowiące pewne odrębne ale nie hermetyczne całości; przechodzenie między nimi nie jest ograniczone administracyjnie (u nas przez 50 lat nie rozwiązano sprawy relacji między studiami inżynierskimi i magisterskimi). Zaufanie Amerykanów do swojego systemu oraz ufność i wiara w głoszone ideały i prawa (z prawem jednostki na czele) to nowe „oświecenie". Nie ulega wątpliwości, że prawa jednostki są oryginalnym osiągnięciem kultury amerykańskiej, wyrosłej na bazie europejskiej kultury śródziemnomorskiej, i będącej wyższą a także doskonalszą formą greckiej demokracji.

W USA zdobywanie wiedzy jest obowiązkowym przywilejem, podczas gdy u nas przymusowym prezentem — dobrodziejstwem systemu — tak jak wszystko z przydziału. W tych różnicach tkwi nieskuteczność naśladownictwa oświatowego systemu USA. Ten ostatni, pod względem organizacyjnym, jest znacznie mniej doskonały od naszego, ale ze względu na wręcz obsesyjne przestrzeganie praw jednostki bardzo efektywny. Polski system oświatowy, poprzez wszystkie typy szkół, nastawiony jest na przystosowanie, wdrożenie, ograniczanie i karanie — w najlepszym przypadku — unikanie większego zła. W systemie amerykańskim są to elementy nieznane, gdyż nauczanie w USA nastawione jest na rozwój, postęp, sukces i nagrodę — osiąganie wyższego dobra.

W USA nikt się nie mści na uczniu pozostawiając go na przykład do repetowania, gdyż nauczyciel oceniany jest po liczbie uczniów przerabiających program w czasie krótszym (np. program 2 klas w ciągu jednego roku szkolnego). Pozwala na to także duża dowolność wyboru przedmiotów koniecznych do zaliczenia roku względnie klasy.

Nastawienie szkoły amerykańskiej na nauczenie, przygotowanie do ciekawego zawodu — lepiej płatnej pracy lub powiększenia szans dostania się na bardzo renomowaną uczelnię (ponad 10 kandydatów na jedno miejsce) powoduje, że wybór szkoły dokonywany jest starannie i z dużą rozwagą. Bardzo często wymusza to dodatkowo wysokie czesne. Na długie studiowanie na niewłaściwym kierunku stać tylko bardzo nielicznych. W Ameryce student zasiada do egzaminu sam przed sobą, chce się przekonać, że pieniądze które wydaje na kształcenie, wydaje właściwie, czy kierunek na którym studiuje mu odpowiada i czy nauczyciele go właściwie uczą. Nie musi udawać przed sobą, że więcej się nauczył aniżeli faktycznie umie, bo było by to oszukiwaniem samego siebie, za własne pieniądze oraz źródłem dalszych błędnych decyzji i wyborów. Zgoła inaczej rzecz się ma gdy studiuje się nie za swoje pieniądze — szczególnie gdy tym dobroczyńcą jest społeczeństwo — poprzez państwo.

Zmiany systemu oświatowego i wychowawczego winny więc iść w kierunku odadministrowania, liberalizacji programów przez większe ich zróżnicowanie, a przede wszystkim podwyższenie uposażeń nauczycieli.W szkolnictwie powinno się rozwiązać wszystkie instytucje centralne (Radę Główną, CKK, itp.). Wszystkie placówki PAN winny zostać włączone w system szkół wyższych stwarzając tym samym możliwości naboru większej liczby studentów. Obecnie pod tym względem jesteśmy na szarym końcu państw cywilizowanych (w USA na wyższych uczelniach studiuje 3 razy więcej studentów). W przyszłości o randze szkoły wyższej decydować będzie tylko liczba zgłaszających się kandydatów na studia i wysokość wpływów pieniężnych, a nie jak dotąd liczba miernych, biernych i wiernych „tytulantów" wykreowanych przez komunistów. Nieśmiałe próby wprowadzenia odpłatności za studia, sprowadzają się jak na razie do symbolicznych kar za powtarzanie i inne przewinienia a nie opłaty stałej, może nawet i symbolicznej ale systemowej. Do czasu generalnego rozwiązania prywatyzacji i sprawiedliwego podziału spadku po byłej PRL,

opłaty za studia winny być nie za wysokie i raczej symboliczne. Dziwnym bowiem byłoby płacenie wysokiego czesnego w szkołach, które są nadal wspólną własnością i powstały kosztem pracy ogółu. Stałe opłaty nawet symboliczne wymuszą świadomy i optymalny wybór kierunku studiów czy typu szkoły.

W systemie oświatowym istotną rolę odgrywa nauka. Praca naukowa w Polsce i USA ma różne tradycje i uwarunkowania historyczne. W Polsce, zgodnie z europejską tradycją, naukę uprawia się głównie dla samej nauki, poszerzenia wiedzy i horyzontów poznania. W USA oprócz tego samego tła motywacyjnego dochodzi jeszcze element utylitarności. Często i za duże pieniądze podejmuje się badania naukowe w nadziei na jeszcze większe korzyści finansowe i to nie w perspektywie mglistej przyszłości ale w okresie jednego pokolenia — a nawet krótszym.

Dla tych, którzy jeszcze tego nie doceniają, najważniejsza jest zmiana filozofii a nie reorganizacja administracyjna. Zmiany takie wymagają przede wszystkim odpowiednich wzorców. W amerykańskim systemie wychowanie odbywa się w oparciu o wzorce pozytywne; pozytywne jest wszystko: i scena zdarzeń i bohaterowie. W przeciwieństwie do polskiej sytuacji, gdzie bohaterowie najczęściej przegrywali: przegrano prawie wszystkie powstania narodowe, wielkimi przegranymi okazali się zwycięzcy II wojny światowej itd. Często kreowani przez powojenne władze bohaterowie, okazywali się nie tyle nieprawdziwymi bohaterami, co wręcz groteskowymi kreaturami. W wychowaniu młodego pokolenia jest to prawdziwa katastrofa edukacyjna.

Przedstawione powyżej przykłady rozwiązań zmierzają w kierunku upodobnienia naszego systemu oświaty do systemów funkcjonujących w USA. Nie powinno to jednak być naśladownictwo całkowite, ale twórcze wzorowanie się, uwzględniające różnice kulturowo-historyczne.

Bronisław JACHYM
Wydział Mechaniczny

„Audiatur et altera pars"

„Od ogłoszenia w 1983 roku alarmującego raportu o szkolnictwie „Kraj w niebezpieczeństwie" w USA wydano na oświatę setki miliardów dolarów, przeprowadzono najróżniejsze reformy i eksperymenty, dyskutowano w nieskończoność nad sposobami ratowania szkół publicznych. Tymczasem sytuacja nieustannie i coraz szybciej się pogarsza.

W dniu rozpoczęcia nowego roku szkolnego ministerstwo oświaty ogłosiło raport o analfabetyzmie wśród dorosłych Amerykanów. Ponad 90 milionów jest funkcjonalnymi analfabetami, ponieważ nie rozumie najprostszego listu, nie potrafi odczytać rozkładu jazdy autobusów ani napisać streszczenia najprostszej informacji gazetowej. Tylko 4 proc. potrafi przy użyciu elektronicznego kalkulatora obliczyć koszt wykładziny dywanowej mając podaną cenę metra kwadratowego i rozmiary pokoju.

Znajomość matematyki i geografii jest gorsza niż w jakimkolwiek innym kraju wysoko rozwiniętym. Połowa uczniów szkół średnich w stanie Michigan na pytanie, z jakim krajem USA graniczą od południa odpowiedziała, że z Kanadą. Trzy czwarte Amerykanów nie potrafi pokazać na mapie Zatoki Perskiej, a jeden na siedmiu nie wie, gdzie leżą Stany Zjednoczone.

Uczniowie 12 klasy amerykańskich szkół są w zakresie algebry na poziomie trzynastolatków w szkołach japońskich lub zachodnioeuropejskich".

Jacek Kalabiński: RACHUNEK UMIENIA. „Gazeta Świąteczna" - Wydanie sobotnio - niedzielne „Gazety Wyborczej", 6 - 7 listopada 1993, Nr 260(1339)A, str. 16 -17.

Zachęcamy czytelnika do wglądu w cały wyżej wymieniony, obszerny artykuł Jacka Kalabińskiego, w którym styl „obsesyjnego przestrzegania praw jednostki" i „osiągania wyższego dobra" amerykańskich szkół publicznych poddany jest surowej krytyce. Swój artykuł kończy on w następujący sposób: „Na następny rok Marta (córka J. K. - przyp. Zespołu Redakcyjnego) została zapisana do szkoły katolickiej, gdzie jest znacznie mniej przyjemnie, ponieważ nauczyciele stawiają wysokie wymagania. Jak się wydaje, uczą również rachunków. Poza tym potrafią w obliczu całej klasy zwrócić uczniowi uwagę, co w publicznej szkole nie może się zdarzyć".

Zbigniew CYWIŃSKI
Członek Zespołu Redakcyjnego

POMÓŻMY BŁĄKAJĄCYM SIĘ MATURZYSTOM

Początek nowego roku akademickiego skłania do refleksji. Ze względu na piętrzące się trudności wydaje się, że ogrom obowiązków pedagogicznych przerasta możliwości. A jednak zakres obowiązków społecznych pedagogów politechniki jest jeszcze szerszy.

Tragizm obecnej sytuacji społecznej polega m.in. na tym, że zbyt wielu maturzystów jest pozbawionych możliwości kontynuowania nauki, nieodzownej do nabycia przydatności społecznej. Współczesna cywilizacja naukowo-techniczna potrzebuje ludzi rozgarniętych, a to jest możliwe do zrealizowania wyłącznie porzez szeroko zakrojone kształcenie umysłów i charakterów, zwałszcza niedawnych maturzystów. I tu napotykamy barierę, bo akademickiej szkole technicznej brakuje uniwersyteckiego rozmachu. A cóż to jest ten uniwersytecki rozmach?

Oto konkretny przykład z historii polskich uniwersytetów. Kierownictwo nowo powstałego uniwersytetu w Wilnie od samego początku przywiązywało szczególną uwagę do organizowania szerokiej sieci szkół, mających kształcić obywateli o wysokich zaletach moralnych i umysłowych. W XVI i XVII wieku uniwersytet ten zakładał i nadzorował, na rozległych Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej, coraz to nowe szkoły: Połock, Dorpat, Łuck, Winnica, Bar, Grodno, Mińsk, Kowno, Dyneburg, Krzemieniec, Żytomierz... — wypełniając swą działalnością pedagogiczną całą przestrzeń, aż do granic terenów nasyconych kulturą bizantyjską. A gdy w XIX wieku despotyzm wschodni ograniczał i likwidował przejawy kultury zachodnioeuropejskiej, to przy uniwersytecie powoływano szkoły: dla organistów, dla Żydów, dla biuralistów, dla głuchoniemych, dla kleru, dla nauczycieli... Uczono wszystkiego, nawet tańca, fechtunku, jazdy konnej..., aby tylko nie nastąpił zastój myśli, aktywności społecznej, potrzeby kształcenia się!

Wydaje się, że akademicką szkołę techniczną stać na coś więcej niż kurczowe trzymanie się stereotypu czyli realizowanie tradycyjnego, a obecnie już częściowo irracjonalnego, tylko jednego rodzaju studiów. Na szczęście pojawiły się już studia inżynierskie. Prosi się jednak, aby studia techniczne dzieliły się na podstawowe o różnych poziomach oraz na dodatkowe, krótkie studia ukierunkowujące zawodowo. A procz tego nakazem, jakże trudnych czasów przemian, jest uruchomienie studium technicznego, stanowiącego przysposobienie dla błąkających się maturzystów, którzy nie muszą być ani projektantami, ani inżynierami ruchu, a tylko światłymi pracownikami różnych służb społecznych na początku XXI wieku.

W wyścigu cywilizacyjnym mają szansę tylko społeczeństwa światłe, a o to również powinien zadbać trust mózgów Politechniki Gdańskiej. Pomóżmy błąkającym się maturzystom. Jak to zrobić? Zapraszam do dyskusji.

Wacław DZIEWULSKI
Wydział Mechaniczny

KLUB SENIORA POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ

motto: ***„Człowiek wart jest tyle, ile może zrobić dla drugiego człowieka”.***

Klub Seniora — ta nazwa niedawno pojawiła się na terenie Politechniki, zaledwie niecałe trzy lata temu. Brzmi ona dość imponująco, a zarazem nieco intrygująco. Nie jest to bowiem żadna z komórek administracji uczelni, ani filia Działu Socjalnego. Klub Seniora — to „instytucja” żyjąca własnym, samodzielnym i — rzec by można — bujnym, a przy tym niezależnym od nikogo życiem. Życiem ludzi, którzy dobrze sobie zasłużyli własną pracą na godziwy odpoczynek.

Klub Seniora zaczyna być powoli zauważany przez coraz liczniejszą społeczność Politechniki. Cieszy się on niezaprzeczalną sympatią, uznaniem i opieką Jego Magnificencji oraz całej Dyrekcji Administracji Uczelni. Tym samym utwierdzając nas — osoby działające w klubie, że jest to instytucja naprawdę potrzebna, że praca Klubu nie idzie na marne, a wprost przeciwnie, wspiera swą opieką i życzliwością bardzo liczną grupę osób, które przepracowały dla Uczelni wiele, wiele lat: 20, 30, 40 i więcej. Klub Seniora niesie pomoc w chorobie, otacza opieką osoby wiekowe i niepełnosprawne, znajdując dla wszystkich miłe słowa, życzliwy uśmiech, czasami kwiaty i piękne życzenia składane często w Imieniu Rektora i Władz Uczelni z różnych godnych podkreślenia okazji. I często można się przekonać, że ma to większe znaczenie i wartość niż podarek pieniężny, choć wiadomo, że dzisiaj, niestety, pieniądze dużo znaczą dla ludzi biednych i głodnych. Klub Seniora sam jest biedny. Nie mamy bowiem zaplecza finansowego ani zamożnych sponsorów. Pracujemy społecznie i całkowicie bezinteresownie, poświęcając swój czas, siły i zdrowie, na ile tylko nam pozwala, dla dobra słabszych, bardziej chorych i potrzebujących. Zapłatą dla nas jest ich wdzięczność, uśmiech i podziękowanie, nierzadko poparte łzami w oczach.

Klub Seniora, to nie tylko niesienie takiej, czy innej pomocy ludziom. To także praca innego rodzaju, praca, że tak szumnie i po dawnemu się wyrażę — „kulturalno-oświatowa”. Tu należy wymienić imponujące spotkania z okazji Bożego Narodzenia i Wielkanocy, spotkania kilkusetosobowe seniorów. którzy mogą tu przyjść do pięknie udekorowanej sali, do stołów ze skromnym i raczej symbolicznym poczęstunkiem. Nastrój tych spotkań jest zawsze bardzo miły i rodzinny. Do zebranych przemawia Jego Magnificencja Rektor słowami pełnymi prostoty i serdeczności, opowiadając o życiu uczelni, o jej radościach, smutkach i kłopotach. Na spotkaniach tych bywają także dyrektorzy Administracji Politechniki oraz przedstawiciele Związków Zawodowych, głównie Solidarności. Wszyscy składają sobie wzajemnie życzenia, rośnie nastrój życzliwości, odnawiają się dawne znajomości, sympatie i przyjaźnie. Długim rozmowom i wspomnieniom nie ma końca. Często, uroczystości te bywają urozmaicone występami chóru Politechniki lub mini-koncertami studentów i pracowników Akademii Muzycznej. W tym miejscu zaznaczyć trzeba, że na te wielkie imprezy otrzymujemy dotacje z budżetu uczelni z funduszu socjalnego dla emerytów i rencistów.

Ale nie tylko tak duże imprezy są naszym udziałem. Klub Seniora organizuje także i mniejsze, okolicznościowe spotkania przy kawie i herbacie, zwykle w czwartki. Nawet zostały one tak żartobliwie nazwane — „mała czarna u Seniora”. Bywają to np. spotkania z okazji jubileuszowych urodzin, a nawet godności nadania tytułu doktora honoris causa, albo takie zwyczajne jak w Andrzejki, Mikołajki, Tłusty Czwartek, czy w czyjeś Imieniny, które koniecznie uczcić trzeba. Niezależnie od takich typowo rozrywkowch spotkań, organizujemy także spotkania poważniejsze, na których dzielimy się swoimi wrażeniami z ciekawych wycieczek lub pielgrzymek, wygłaszamy krótkie prelekcje i pogadanki, a także zapraszamy do wygłoszenia kilku słów osoby mające coś do powiedzenia na tematy szczególnie wszystkich interesujące. Ogłoszenia i zaproszenia na takie spotkania można zawsze znaleźć na tablicy ogłoszeń obok klubu. Na tej tablicy umieszczone są również wszelkie inne informacje, które mogą zainteresować seniorów.

Staramy się także zorganizować raz lub dwa razy w roku wycieczkę autokarową w niedalekie okolice Gdańska. Były już takie wycieczki do Pelplina, Gniewu, Łeby, Będomina i do Wdzydz. Jednakże napotykamy niezmiennie na spore trudności związane z kosztami przedsięwzięcia. Nie możemy bowiem i nie chcemy czerpać zbyt wiele z funduszu socjalnego Politechniki. Chcemy zostawić jak najwięcej pieniędzy na zapomogi dla potrzebujących: na węgiel, ziemniaki i w ogóle na wszelkie podreperowanie ich niewielkich budżetów domowych. To zresztą leży w gestii Działu Socjalnego Politechniki. Czasami jesteśmy wspierani niewielkimi kwotami przez Związki Zawodowe, zwłaszcza „Solidarność”, dla Koła Emerytów i Rencistów Solidarności, które to koło w całości wchodzi w skład Klubu Seniora.

Do działalności naszego klubu możemy zaliczyć także podjętą od niedawna akcję zbierania używanej odzieży i wydawania jej tym, którzy tego potrzebują i to nie tylko seniorom, ale wszystkim pracownikom Politechniki.

Jednakże, żeby zdobyć jakiekolwiek, niewielkie choćby pieniądze na kwiaty i słodycze dla wspieranych przez nas i odwiedzanych seniorów, klub podejmuje dość nieśmiało na razie, tzw. działalność gospodarczą. Na Święto Zmarłych i na Boże Narodzenie przygotowujemy przepiękne wiązanki i stroiki projektowane i wykonywane głównie, choć przy naszej pomocy przez naszą nieocenioną przewodniczącą, obdarzoną ogromnymi zdolnościami plastycznymi i artystycznymi — panią Gizellę Bober. W ten sposób z tak zarobionych pieniędzy Klub m.in. zdołał także zakupić aparat do mierzenia ciśnienia tętniczego. Jest on do dyspozycji nie tylko emerytów, ale i wszystkich pracowników uczelni. A może by tak za zmierzenie ciśnienia pobierać datki „co łaska” do skarbonki? Oczywiście to żart, ale prawdą jest, że ciągle myślimy o tym jak by tu wesprzeć naszą klubową kasę. I w tym miejscu chcielibyśmy publicznie i gorąco podziękować panu prof. Ignacemu Adamczewskiemu, naszemu pierwszemu i wiernemu sponsorowi za zasilanie od czasu do czasu naszego klubowego konta.

Klub Seniora zawdzięcza swoją wciąż rozwijającą się działalność w dużej mierze ogromnej życzliwości Władz Uczelni, zwłaszcza Jego Magnificencji Rektora prof. dr hab. inż. Edmunda Wittbrodta oraz także dosłownie garstce entuzjastów, których niech mi będzie wolno w tym miejscu wymienić i złożyć im podziękowanie za ich trudną i całkowicie bezinteresowną pracę, za ich czas i serce poświęcone innym. Oto w pełnym składzie Zarząd Klubu Seniora: Gizella Bober — przewodnicząca, Jadwiga Lipińska — wiceprzewodnicząca, Janina Grześkowiak — sekretarz, Maria Bogucka-Ledóchowska — skarbnik, i członkowie: Ina Bratkowska, Hilaria Chomka, Sabina Gawlińska, Lubomira Jankowska, Irena Kwiatkowska, Irena Łozińska, Maria Mołczanow, Ryszard Skarżyński, Jadwiga Wesołowska.

Politechnika Gdańska liczy sobie już ponad 1200 emerytów i rencistów.

Klub seniora mieści się w pokoju 153 w Gmachu Głównym tel. 47-22-26. Dyżury pełnione są codziennie oprócz sobót od godz. 11—14.

Jadwiga LIPIŃSKA
Kronikarz Klubu Seniora PG

FUNDACJA — czy warto?

Na naszej Uczelni powstała Fundacja Samorządu Studentów Politechniki Gdańskiej „GAUDEAMUS". Celem, który przyświecał jej założycielom było obniżenie opłat za miejsca w domach studenckich PG oraz zdobycie funduszy na remont budynku „Bratniak". Założyciele — członkowie Samorządu Studentów PG oraz Władze Uczelni poświęcili całe wakacje na zbieranie informacji i doświadczeń w innych ośrodkach akademickich, gdzie już od kilku lat z powodzeniem działają fundacje studenckie.

Okazało się, że np. Fundacja Pomocy Studentom „Żak" przy ART w Olsztynie potrafiła w trzy miesiące po przejęciu akademików obniżyć w nich ceny o ok. 30%. W chwili obecnej studenci olsztyńscy średnio płacą za DS ok. 270 tys. zł. od osoby, podczas, gdy u nas cena ta wynosi średnio ok. 400 000 zł. Należy przy tym dodać, że suma opłat za gaz, c.o., wodę, energię elektryczną, wywóz śmieci itp. wypada w Olsztynie nawet wyżej niż w Gdańsku. Podobnie jest w innych ośrodkach, w Krakowie (UJ), w Warszawie (UW i SGH) fundacje przyniosły obniżki cen i poprawę warunków mieszkaniowych w akademikach. Również stołówki studenckie działając pod fundacjami stały się rentowne i tańsze; dzięki dobremu gospodarowaniu przez Fundację stołówką przy ART w Olsztynie uczelnię stać na dofinansowanie do obiadów dla studentów, a także dla pracowników, gdyż dofinansowuje ona tylko 10 tys. zł. do obiadu przy całkowitym koszcie obiadu 22 tys. zł

Na naszej Uczelni natomiast dąży się do zamknięcia stołówki przy ul. Traugutta, jako nieopłacalnej. Gdzie wtedy będą żywili się studenci?

Do powstania Fundacji SS PG „GAUDEAMUS" przyczynił się również stan budynku „Bratniak", który kilka lat temu został przekazany studentom i jest ich najgorszą wizytówką. Dnia 05. 03. 1993 r. ze względu na złe warunki BHP i p. poż. oraz brak pewnego administratora została podjęta przez Dyrekcję PG decyzja o zamknięciu „Bratniaka". Organizacje mające tam swoje siedziby nigdy nie podporządkowały się tej decyzji. Samorząd Studentów został jednak zobowiązany przez Władze Uczelni do rozwiązania zaistniałego problemu. Dnia 14. 07. 1993 r., po przedstawieniu sprawy przez założycieli Fundacji, Senat Politechniki Gdańskiej — najwyższy organ kolegialny Uczelni podjął na swym posiedzeniu jednomyślnie uchwałę o przystąpieniu Politechniki do Fundacji Samorządu Studentów „GAUDEAMUS". Pragniemy, żeby „Bratniak" był nadal siedzibą klubów studenckich ale do tego musi on spełniać wymagania przepisów BHP, p. poż. oraz innych dotyczących stanu technicznego. Należy więc przeprowadzić remont, na który Uczelnia nie ma funduszy. Fundacja ma na celu zgromadzenie środków na wykonanie tych niezbędnych prac i zapewnienie normalnego funkcjonowania budynku (np. utworzenie portierni, zabezpieczenie przed włamaniami, zagospodarowanie piwnic itp.). Chcemy ponadto stworzyć w naszej strukturze miejsca pracy dla studentów PG, szczególnie w okresie wakacyjnym, wspierać ich stypendiami i organizować duże imprezy studenckie (typu „Neptunalu"). Najwyższym organem Fundacji SS PG „GAUDEAMUS" jest Rada Fundacji, której przewodniczy J.M. Rektor Politechniki Gdańskiej.

Uważamy, że ta wiele rokująca na przyszłość próba współpracy Władz Uczelni ze studentami w zakresie jej gospodarki zaowocuje najlepszymi efektami

Maciej DRĄG
Student Wydziału Zarządzania i Ekonomii

Z Archiwum Kroniki Studenckiej

NASZA „KRONIKA STUDENCKA”

Wszystko zaczęło się 35 lat temu. Studenci robiący zdjęcia zaczęli je prezentować w formie popularnej wówczas gazetki ściennej. Na początku nikt nie myślał o numerowaniu wydań Kroniki Studenckiej. Do archiwum przekazywano tylko najlepsze ich zdaniem zdjęcia. Dlatego nasze początki są owiane lekką mgłą tajemnicy. Dopiero po pewnym czasie Kronika Studencka stała się regularnie wydawanym Ilustrowanym Magazynem Studentów Politechniki Gdańskiej, o nakładzie jednego egzemplarza. Przez te wszystkie lata aparat fotograficzny studenta z Kroniki uwieczniał życie Uczelni oraz ważne wydarzenia wokół niej. Docieraliśmy tam gdzie zawodowi fotografowie z gazet, a nawet dalej. Kronikarz nie rozstawał się z aparatem.

Prezentowane tutaj zdjęcia są drobną cząstką z naszego archiwum, które stało się unikalnym zbiorem będącym pracą wielu pokoleń studentów Naszej Uczelni.

Zapraszamy wszystkich studentów interesujących się fotografią. Zebrania odbywają się w każdy piątek o godzinie 16^{00} w naszej siedzibie na II piętrze budynku Bratniak, ul. Siedlicka 4, tel. 47-23-46.

Leszek APANASEWICZ

Redaktor Naczelny Kroniki Studenckiej

P.S. W związku z 35-leciem KS uprzejmie prosimy byłych reporterów Kroniki Studenckiej o kontakt telefoniczny lub osobisty.

Numery Kroniki z takimi tematami jak strajki studenckie i robotnicze, pacyfikacja stoczni w stanie wojennym wisiały zazwyczaj tylko kilka godzin. „Na życzenie” Rektora lub „pana majora” ze studium wojskowego pojawiały się w wersjach z białymi plamami. Cenzura obowiązywała do lutego 1989 roku.

Tradycyjnym miejscem wystawiania KS jest hol Gmachu Głównego Politechniki Gdańskiej, ale ukazywała się także w akademikach oraz w witrynach sklepów we Wrzeszczu. Do dziś wydano 933 numerów Kroniki Studenckiej. Ostatnio kult pieniądza skutecznie odwraca uwagę studentów od działalności w sferze kultury. Znikają jeden po drugim kluby, nie tylko z naszej uczelni. Nic więc dziwnego, że Kronika jest obecnie jedyną w Polsce organizacją studencką, która prowadzi tego typu działalność. Oprócz wydawania „gazetki” prowadzimy również działalność typowego klubu fotograficznego. Prowadzimy szkolenia swoich członków, organizujemy wystawy, plenery i konkursy. Dzięki niepowtarzalnej atmosferze Kroniki nawiązały się wspaniałe przyjaźnie. Wszyscy tworzymy pewnego rodzaju rodzinę. Każdy kto wciągnie się w wir działalności klubu ma dylemat, co ważniejsze : Dom, Uczelnia, Kronika. Nie bez powodu jeden z nas powiesił w swoim domu tabliczkę z napisem : „Dom moją drugą Kroniką”. Do dziś mamy kontakt ze „Starymi Kronikarzami”. Część z nich nadal zajmuje się fotografią; amatorsko lub zawodowo. Wielu z nich to tzw. ludzie sukcesu. W czasie swoich odwiedzin z prawdziwym wzruszeniem opowiadają o „swoich czasach”. Są dumni, że ich praca jest doceniana i kontynuowana.

Zdjęcia
z
Archiwum
Kroniki Studenckiej

1972 r

1972 r.

1984 r.

1986 r

1981 r.

1968 r.

1990 r.

1990 r.

1972 r

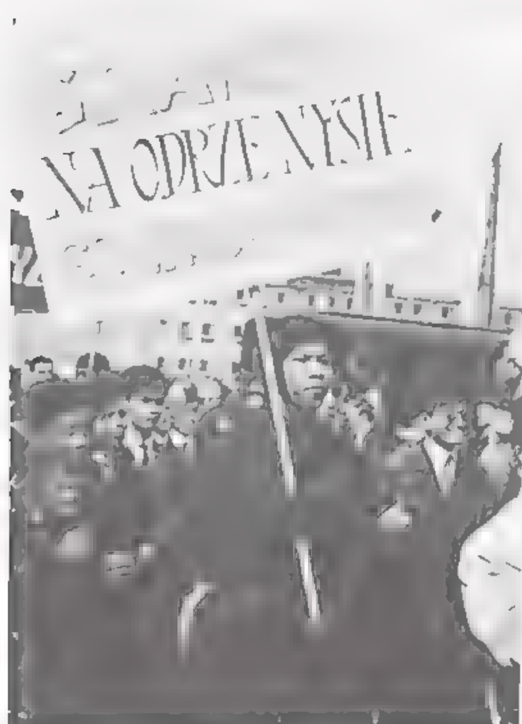

1969 r

1990 r.

KRONIKA STUDENCKA

MUZYKA W POLITECHNICE

Jerzy OWSIAK gościem Politechniki

POLITECHNICZNE WIECZORY MUZYCZNE organizowane cyklicznie na Politechnice Gdańskiej mają już swoją renomę i tradycję, jednak ostatni koncert odbił się szerokim echem nie tylko w środowisku gdańskim ale i w całym kraju. Gościem honorowym koncertu był Jerzy Owsiak — koncertmistrz WIELKIEJ ORKIESTRY ŚWIĄTECZNEJ POMOCY. W programie koncertu znalazło się dzieło G. Rossiniego wyrosłe z ducha belcanta operowego oraz z tradycji muzyki religijnej — STABAT MATER. Wykonawcami koncertu byli: Chór Politechniki Gdańskiej, Kameralny Chór CONTINUO z Sopotu (oba chóry przygotowane przez Mariusza Mroza), Barbara Sanejko — sopran, Wiesława Maliszewska — alt, Tadeusz Pszonka — tenor, Bogdan Makal — bas; całością dyrygował Zygmunt Rychert. Wszyscy muzycy występowali nieodpłatnie. Pieniądze zebrane podczas koncertu — 18,5 mln zł zostały przekazane

na rzecz dzieci chorych na serce. Frekwencja publiczności (około tysiąca słuchaczy), bardzo dużo młodzieży, zainteresowanie prasy radia i telewizji, ofiarna praca muzyków, bardzo dobre recenzje, dowody uznania wielu melomanów przybyłych na koncert są dowodem na to, że koncert ten był sukcesem Politechniki Gdańskiej, która stała się ważnym ośrodkiem kultury. Cel artystyczny i społeczny koncertu został osiągnięty dzięki ogromnemu poparciu i pomocy, nie tylko duchowej, władz Uczelni. Wysoki poziom artystyczny wykonawców, ciekawy dobór repertuaru są dla publiczności gwarancją dobrego koncertu, i dlatego też na następnych koncertach będziemy mogli usłyszeć m. in. G. Gershwina — „Amerykanin w Paryżu" oraz poznać kunszt mistrza wiolinistyki polskiej Krzysztofa Jakowicza. Dbając o to aby Chór Politechniki Gdańskiej reprezentował coraz wyższy poziom oraz o to aby Politechnika Gdańska, jako uczelnia techniczna, była ważnym animatorem kultury, zostały przedstawione J. M. Rektorowi prof. E. Wittbrodtowi propozycje związane z nadchodzącym Rokiem Rocznicowym. Październik 1994 jest miesiącem rozpoczynającym obchody Roku Rocznicowego Naszej Uczelni, dlatego też Chór PG chciałby przyczynić się do uświetnienia tego jubileuszu wykonaniem wspólnie z orkiestrą Symfoniczną Akademii Muzycznej w Gdańsku wielkiego oratorium Feliksa Nowowiejskiego „Quo Vadis" op. 30 . Wykonanie dzieła polskiego kompozytora jest celowe i uzasadnione, poza tym samo oratorium „Quo Vadis" posiada olbrzymią wartość artystyczną (libretto oratorium oparte jest na powieści H. Sienkiewicza o tym samym tytule). Kolejną propozycją na rok jubileuszowy jest stworzenie (skomponowanie) specjalnie dla Politechniki Gdańskiej musicalu (rock-opera, oratorium — forma dowolna) pt. „Polskie Boże Narodzenie". Jest to pomysł wymagający dużego nakładu pracy, jednak warto pokusić się o to, aby w Gdańsku i z inicjatywy Politechniki Gdańskiej powstał utwór mogący zająć stałą pozycję w historii kultury polskiej. Chór zaproponował również aby na przełomie marca i kwietnia 1995 roku odbył się na PG „Pierwszy Ogólnopolski Festiwal Chórów Akademickich".

Festiwal ten ma zapoczątkować cykliczne spotkania chórzystów w różnych ośrodkach akademickich Polski, co niewątpliwie wpłynie na podniesienie poziomu artystycznego chórów jak również będzie ważnym wydarzeniem wszystkich uczelni. Politechnika Gdańska, jako twórca i organizator festiwalu, będzie przydzielała prawo organizowania festiwalu innym uczelniom. Chór Politechniki Gdańskiej spotyka się na próbach trzy razy w tygodniu: poniedziałek, czwartek od 19-21, wtorek od 18-20 w sali 213 GG. Uczestniczy w różnych uroczystościach odbywających się na Politechnice Gdańskiej oraz prowadzi działalność koncertową w kraju i za granicą. Koncertował m. in. w Szwajcarii, Szwecji, Hiszpanii, Francji, Finlandii, Niemczech, Właszech i Filipinach. Obecnie liczy 40 osób i jest otwarty na przyjmowanie nowych miłośników sztuki chóralnej. J. M. Rektor dziękując za wszystkie dotychczasowe osiągnięcia i cenne nowe inicjatywy w pełni poparł propozycje dyrygenta i chórzystów Politechniki Gdańskiej.

Mariusz MRÓZ
Dyrygent Chóru Politechniki Gdańskiej

HISTORIA CZY ATRAPA?

Niskie domy wśród drzew i krzewów, przystrzyżone żywopłoty i trawniki, sieć uliczek pozbawionych chodników, samochody... Oto szkicowy obraz niejednego osiedla na Long Island — wyspie u wybrzeży kontynentu amerykańskiego, oddzielonej odeń z północy zatoką Long Island Sound, a z zachodu cieśniną East River. Po drugiej stronie tej cieśniny jest już Manhattan — centralna dzielnica Nowego Jorku z jej niebotycznymi wieżowcami, kanionami zgiełkliwych ulic i wielobarwnym nigdy nie usypiającym życiem.

Dix Hills, w którym gościmy, leży pośrodku wyspy, w rejonie zamieszkałym przez klasę średnią. Na Manhattan jedzie się stąd samochodem bez mała dwie godziny, choć znacznie wcześniej wyjeżdża się do Nowego Jorku. Jego mniej reprezentacyjne dzielnice — Brooklyn i Queens — rozsiadły się bowiem w zachodniej części Long Island i zdają się wolno pełznąć ku środkowi wyspy.

W Dix Hills żyje się spokojnie, w ciepłe sierpniowe noce głośno grają cykady. Ale sąsiedztwo Metropolii czuje się na każdym kroku, jak czuje się obecność pobliskiego ogniska lub rozpalonego pieca. Ludzie myślą tam podobnie jak w Nowym Jorku i podobnie przeżywają swe życie. Są pragmatyczni i zainteresowani przyszłością, od której oczekują owoców swych dotychczasowych poczynań. Z rzadka natomiast spoglądają za siebie i nie rozpamiętują przeszłości; nawet jeśli odkurzają stare metryki lub świętują rocznice.

Były doradca Prezydenta Kennedy'ego, profesor Miejskiego Uniwersytetu w Nowym Jorku, Arthur Schlesinger, zarzuca nawet swym współziomkom otwarty ahistoryzm: „Mimo widowiskowego zgiełku lipcowych obchodów nasze społeczeństwo jest w chwili swego dwóchsetlecia społeczeństwem w gruncie rzeczy pozbawionym historii. Biznesmeni podzielają zdanie Henrye'go Forda starszego, że historia to banialuki. Młodzież przestała studiować historię. Zafascynowani ahistorycznymi, behawiorystycznymi naukami intelektualiści odwracają się od niej plecami".

Nam, Polakom, wychowanym na historii — a przynajmniej mojemu pokoleniu Polaków — nie odpowiada ten stan rzeczy; podejrzewamy zresztą Schlesingera o pewną przesadę. Wierzymy, że „minione nie może przeminąć" oraz, że „to, co nie może być uczynione ubiegłym, zostaje zachowane". Ta szczypta filozofii (zapożyczona od niemieckiego filozofa Georga Pichta) wydaje się nam bardzo ważna. Nie wskazuje jednak niestety, gdzie i jak żyje na tej ziemi pamięć przeszłości.

Chcą nam pomóc gościnni — z Polski rodem — gospodarze. Jedziemy z ich namowy do Old Bethpage, starej osady rolniczej na Long Island, położonej na południowy zachód od Dix Hills, w obrębie Nassau County. Historią zdaje się już pobrzmiewać nazwa „Nassan", była ona bowiem ongiś mianem rodu europejskiego, z którego wywodzili się namiestnicy i królowie Niderlandów (Holandii), a także Wilhelm III Orański, król Anglii. Ale bliższe spotkanie z przeszłością nastąpi dopiero w wiosce.

Jest upalny dzień sierpniowy. Nad obszarem około dwustu akrów (1 a = 4047 m²) unosi się słońce. W jego blasku zanurzone są domy, przyzagrodowe łąki i zarośla na obrzeżach osady; powietrze drga bezgłośnie nad polami. Idziemy wiejską drogą w kierunku zabudowań. Samochód zostawiliśmy na parkingu. Tu wyobrazić można sobie tylko pojazdy konne — wozy załadowane zbożem lub innymi produktami, lekkie bryczki powożone przez farmerów i kupców. Gdzieś poza zasłoną czasu dzieje się nadal to, co minęło: skrzypiące koła, woźnicy pokrzykują na konie.

Minąwszy kilka zagród wchodzimy do środka wioski — na skrzyżowanie dróg z północy na południe i ze wschodu na zachód. Niskie, wolno stojące domy lśnią tu bielą oszalowań, niektóre wabią cienistymi gankami, wszystkie zapraszają do wejścia. Oto kuchnia z kunsztownie rzeźbionym piecem i bogatym zestawem naczyń. Obok pokój gospodarza z położoną na sekreterze Biblią, księgą rachunkową i fajką. W izbie rodzinnej lalka, posadzona na skraju łóżka...

W zwiedzaniu pomagają nam dziewczęta w strojach z ubiegłego stulecia — w białych czepcach, barwnych bluzkach i spódnicach do kostek. One też stoją za kontuarami niegdysiejszych sklepów i traktierni, choć widać także odpowiednio do epoki ubranych mężczyzn, krzątających się najczęściej na zapleczu. Można tu oglądać stare sprzęty, wyroby tekstylne i narzędzia gospodarskie. Można także nabyć jakąś pamiątkę, kupić dzieciom cukierki ich prababek lub wypić gorzkie piwo pradziadków.

Odpoczywamy w cieniu drzew i wędrujemy dalej ku słońcu — z północy na południe. Zatrzymujemy się chwilę przy starej kuźni, w której kowal obkuwa właśnie w ogniu pręt żelazny, odwiedzamy sklep kapelusznika i podążamy ku domowi bednarza. Za nim widnieją staw i obejścia farmerskie. W otwartych szopach stoją narzędzia rolnicze, w opłotkach skubią trawę krowy i beczą kozy, a w kałużach taplają się kaczki. Hodowla przyciąga zwiedzających i wychodzi na pożytek mieszkańcom Long Island, którzy czerpią stąd zdrową żywność — produkowaną w sposób naturalny i pozbawioną konserwantów.

Dochodzimy do zarośli okalających wioskę. Domy pozostały za nami, ale krocząc wielkim łukiem pod

ścianą lasu, wrócimy do nich od wschodu. Droga pnie się lekko pod górę, to znów się obniża. Słońce grzeje niemiłosiernie, a my z pewnym lękiem spoglądamy na drzewa. Tam czai się niebezpieczeństwo groźnych kleszczy, o którym poinformowały nas przy wejściu tablice ostrzegawcze.

W pewnej chwili zza zarośli wyłania się cmentarz; mały i zapomniany. Spoglądają nań tyko drzewa i niekiedy turyści. Tu skręcamy ku drewnianemu kościółkowi, który postawiony został na wzgórzu i widać go z daleka. Jest to zbór metodystów z 1857 r. We wnętrzu na pulpicie leży otwarta Biblia. Kiedyś rozbrzmiewały tu głosy kaznodziejów, którzy uczyli ludzi ufać Bogu, miłować bliźniego i cenić pracę. To oni wołali od ołtarza o dobrobyt i wyzwalali w wiernych siły do jego urzeczywistniania. Reszta należała do pobliskiej szkoły, kształcącej przyszłych gospodarzy, a następnie do farmerów, kupców i rzemieślników, którzy przekształcali słowa w czyny. Zwłaszcza do farmerów; bilet wstępu do Old Bethpage to wizerunek siewcy, rzucającego ziarno w glebę wyspy.

Chwila odpoczynku przed szkołą — budynkiem, jak zbór skromnym i ascetycznym. Piaszczysta droga wiedzie stąd lekko w dół do środka wioski. Po drugiej stronie drogi bieleją w słońcu wille krawca i mierniczego; obok szkoły wznosi się dom farmera, duży i zamożny. Nieco w tyle prześwituje poprzez drzewa stolarnia.

Cicho tu, spokój zdaje się być przyrodzony temu miejscu. A przecież nie zawsze tak było. Wszak w początkach XVII w. wędrowali tędy osadnicy z Holandii. Zasiedlili oni Long Island i założyli nie opodal, nad rzeką Hudson, Nowe Niderlandy z ośrodkiem w Nowym Amsterdamie — dzisiejszym Nowym Jorku. Tędy pod koniec wieku przetoczyła się fala żywiołu angielskiego, który wyparł w końcu Holendrów i uczynił z ich zdobyczy posiadłość brytyjską. Wkrótce potem przyszedł wiek XVIII-ty, który zapisał się znów wojną o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Jej smutną datą jest sierpień 1776 r., kiedy to wojsko Jerzego Waszyngtona zostało na Long Island przez Anglików pobite.

Niepokój drążył ten zakątek także później. W oddali grały surmy Wojny Secesyjnej, Civil War (1861 — 65), krwawej i okrutnej. Mężczyźni opuszczali domy z bronią w ręku, płakały po wielu matki i żony, tęskniły dzieci. Na płotach siadały harpie. Wszystko to przeminęło, ale na pamiątkę tamtego czasu odbywa się w Old Bethpage w maju wielkie widowisko: pola zajmuje wojskowy obóz Unii z 1861 r., odtworzony — nie wiem do jakiego stopnia wiernie z przekazów historycznych.

Nadeszła pora lunchu; kobiety w czepcach i mężczyźni w kamizelkach odeszli gdzieś na posiłek. Zostajemy sami, w nie najlepszych humorach. I może właśnie dlatego budzi się w nas myśl krytyczna. Uświadamiamy sobie, iż Old Bethpage to przede wszystkim skansen interesujący i piękny, ale właśnie skansen — park etnograficzny. Stoją w nim obok siebie obiekty z różych miejscowości — z całego okręgu Nassan, a nawet spoza niego. Autentyczne jest miejsce osady i coś z dawnych zabudowań: tłocznia owoców na skraju lasu, stara farma w dolinie...

Skansen przedstawia wioskę z dawnych czasów, poprzedzających Wojnę Secesyjną. Budowę rozpoczęto z inicjatywy „Nassau Country Museum"w 1960 r.; wioskę udostępniono zwiedzającym dziesięć lat później, lecz jej rozbudowa trwa do dzisiaj. Celem budowy miało być zainteresowanie społeczeństwa historią i kulturą Long Island. Cel został w znacznej mierze osiągnięty, ale nie bez okaleczeń prawdziwej przeszłości. Osadę zbudowano bowiem z „Dawnych klocków"- ze świadectw jej dobrobytu i samowystarczalności. Zabrakło śladów po ciemnych stronach życia; po przemocy, nieszczęściach i biedzie, które w surowych dziejach wyspy musiały wciskać się do wioski.

Trudno wprawdzie zarzucać to skansenowi. Ale czy nie mistyfikuje on przez ów brak zwiedzających? Czy nie podsuwa im mitologii heroicznej, bliskiej — jak twierdzą znawcy — mentalności Amerykanów? Czy skansen określany w folderach jako rekonstrukcja wioski (village restoration) nie może spowodować najgorszego: pomieszania historii z jej dumną atrapą? I czy w końcu nie jest tak, że rację miał Schlesinger: Ameryka odwraca się wciąż od historii — tej prawdziwej plecami?

W zamyśleniu opuszczamy osadę nie znajdując odpowiedzi. O jednym zostaliśmy przekonani: Amerykanie zaczęli mimo wszystko dowartościowywać historię i rozumieją lepiej niż przed laty słowa ich wielkiego pisarza, Francisa Scotta Fitzgeralda: „Tak ot dążymy naprzód, kierując łodzie pod prąd, który nieustannie znosi nas w przeszłość". Żegnaj Old Bethpage, wiosko, która byłaś tą kiedyś naprawdę i żyjesz nadal w wyobraźni — przede wszystkim w wyobraźni i w eterycznym blasku słońca, świadka historii.

Adam SYNOWIECKI

Wydział Zarządzania i Ekonomii

POWRÓT DO CZARLINY

Od wielu już lat nie byłam w Czarlinie, choć kiedyś często spędzałam tu urlopy i byłam świadkiem skromnych początków Ośrodka i jego dalszego stopniowego rozwoju.

Pozornie niewiele się tutaj zmieniło. Może tylko sosny nieco podrosły, a w lesie przybyło trochę nowych duktów i przesiek. Jednakże małe poletka łubinu, kartofli i marnego żyta są takie same jak przed laty.

Jest właśnie schyłek lata. Na piaskowych, szarych ścierniskach małe czerwone pajączki zaczynają snuć nitki babiego lata. W lesie nie ma już jagód, borówek a i grzybów jest niewiele.

W samym zaś Ośrodku na miejscu niektórych starych domków, pojawiły się domki „nowej generacji", obszerniejsze, wieloosobowe i bardziej eleganckie. Ludzie są też jakby inni, a znajomych twarzy prawie nie widać. Cóż, po tylu latach? Za to niezmiennie dużo jest, jak zawsze, dzieci i młodzieży, zadbanej, dobrze odżywionej i radośnie beztroskiej. Nie ma mowy o małym przyroście naturalnym i biedzie panującej w kraju. W każdym razie na pierwszy rzut oka.

Przez wiele lat kierownikiem i gospodarzem z prawdziwego zdarzenia, surowym i wszechobecnym, był tu pan Kazimierz Moczorat. Nie można było sobie wprost wyobrazić Czarliny bez Pana Kazimierza. Poświęcił jej szmat swojego życia i był bardzo z nią związany uczuciowo. W ubiegłym roku przeszedł na emeryturę. Za wszystko co zrobił dla Czarliny należą mu się słowa wielkiego uznania i podziękowania. Piszę to od siebie szczerze i z największym przekonaniem i myślę też, że wszyscy „żelaźni" wczasowicze mogą tę opinię podzielić. Ośrodek ma już nowego kierownika, życie toczy się dalej utartym trybem mimo większych lub mniejszych zmian jakie niesie zwykle ze sobą umykający szybko czas.

Wszystko właściwie się zmienia. Wczasowa moda także uległa pewnej zmianie. W tej dziedzinie nastąpiło jakby wyrównanie na styku starsi-młodzież. Trudno rozróżnić z daleka kto tu młody a kto starszy? Wszyscy wkoło noszą podobne podkoszulki, bluzy i wdzianka. Luźne i kolorowe. Dominuje róż, fiolet i zieleń. Kolory są tak ostre, że aż biją w oczy. Na bawełnianych koszulkach widnieją przeróżne „tajemnicze" rysunki a także napisy w rodzaju — I Love You, Levis-105, Easy-Feasy, Coca-Cola. Nosi się też obszarpane dżinsy, szorty, superobcisłe leginsy i całkiem luźne dresy. Modne są też flanelowe kolorowe koszule oraz kombinezony i obszerne, powyciągane aż do kolan swetry i swetrzyska. Na nogach nosi się obowiązkowo zagranicznej produkcji adidasy i zdrowotne klapki z kolcami. Jest to taka właśnie rodzajowa demokracja wakacyjna, która uwidoczniając się w stroju bierze górę na konwenansami wszelkiego rodzaju.

Wszystkim w Ośrodku bez wyjątku dopisuje humor i dobre samopoczucie. Dzieci szaleją na rowerkach a młodzież wesoło hałasuje słuchając rytmów opętańczej muzyki lub urządza na wąskiej drodze „wyścigi" na swych wspaniałych maszynach wywołując wielki popłoch wśród spacerujących wczasowiczów.Na każdym kroku panuje dobra atmosfera, pełen luz, ale i niezwykła uprzejmość. Wszyscy do wszystkich uśmiechają się sympatycznie, pozdrawiają się mile, a każdą rozmowę rozpoczyna się od zagadnień związanych z meteorologią i ...grzybami. Grzyby — to prawie nakaz chwili po prostu i hazard, gdyż tegoroczne lato nie rozpieszcza wczasowiczów ani pogodą ani grzybami.

Niezwykłą uprzejmość zauważyć można także wśród martwych przedmiotów. Na przykład wśród samochodów. Te zagraniczne i drogie — golfy, mercedesy, daihatsu, mitsubishi czy toyoty, ustępują grzecznie miejsca na niestrzeżonym dolnym parkingu biedniejszym swoim kuzynom rodzimej produkcji. Same natomiast ustawiają się skromnie na poboczu drogi pożarowej niedaleko głównego pawilonu. To dopiero Wersal! I psy też jakby są grzeczniejsze, a jest ich tu wiele, choć to jest wbrew

przepisom — i o dziwo, prawie nie przeszkadzają ludziom w wypoczynku. Ale cóż mają robić właściciele tych miłych czworonogów, skoro często nie mają ich gdzie zostawić na czas urlopu?

O wygodę wczasowiczów dba personel kuchenny i hotelowy. Jest to personel bardzo miły, uprzejmy i sympatyczny i tak młody, że na pewno uczęszczający jeszcze w ciągu roku do różnych szkół. Zarobią sobie dziewczęta trochę w ciągu wakacji na dalszą naukę. Zwykle około godziny dziewiątej rano robią sobie one małą przerwę i zjawiają się w komplecie

przed telewizorem ustawionym w westybulu przed stołówką. Właśnie o tej godzinie „lecą" „Pokolenia", a to jest ogromna pokusa. „Pokolenia" ogląda się także i w dużej sali klubowej. Okazuje się przy tym, że bohaterów tego filmu oglądają prawie wyłącznie małolaty, trochę szkolnej młodzieży i kilka starszych pań. Reszta wczasowiczów wzrusza ramionami, spogląda mocno z ukosa na te starsze wielbicielki „Pokoleń" rozgrzeszając ewentualnie młodzież i małolaty. No cóż, „de gustibus non est disputandum". Ale swoją drogą jest to ciekawy przyczynek do rozważań nad mentalnością społeczeństwa w przedziale małolat oraz babcia.

Wielkim natomiast powodzeniem wśród rozrywek cieszy się ping-pong, siatkówka i tenis. Tu już nikt nie wybrzydza, tu zaangażowane są naprawdę całe ośrodkowe „pokolenia". Dziadkowie, dzieci i wnuczęta. Trzeba się koniecznie dotlenić, rozprostować kości, rozruszać stawy i mięśnie, zwłaszcza, że sport ten jest naprawdę piękny, choć odrobinę może ekskluzywny, jednak dostępny dla wszystkich. I właśnie przy placu tenisowym

dochodzi najczęściej do spięć między „ośrodkowymi" a „zewnętrznymi", obcymi, którzy zastanawiają się często czy nie powrócić do kolejek „społecznych" pilnujących egzekwowania zapisów na korty.

Na jeziorze niepodzielnie królują żagle. Młodzież z Ośrodka zdobywa pilnie stopnie żeglarskie pod czujnym okiem niestrudzonego bosmana, a miłośnicy „deski" nie zważając na zimny wiatr i nie lepszą wodę, wpadając w nią raz po raz, dają niezłe przedstawienie wygrzewającym się w zacisznych miejscach kibicom. Przez cały zaś dzień na brzegu uwijają się napływowi raczej żeglarze spoza Ośrodka, którzy ponoć gdzieś tutaj w hangarze mają swoje przytulisko. Obładowani są plecakami, kalimatkami i śpiworami. Są sympatyczni, wysocy, opaleni, głodni i nieco obdarci. Nawołują się gromko, ładnie śpiewają przy gitarze a głos po wodzie niesie...

Do miejscowych rozrywek należy jeszcze szaleńcza dyskoteka, uwielbiana chyba przez wszystkich, no, może z wyjątkiem naprawdę starszych, poważnych i dystyngowanych pracowników nauki. Chociaż kto wie? W atmosferze głośnej muzyki i rozbłyskujących w ciemności kolorowych światełek trudno rozpoznać kto jest kto. Chłopak czy naukowiec z posiwiałą brodą, dziewczyna czy pani w średnim wieku, odziana w bardzo obcisłe leginsy? A wśród starszych podskakują z wdziękiem i z wielkim wyczuciem rytmu także i dzieci nieletnie, którym rodzice nie mogli pewno odmówić takiej niecodziennej wspaniałej nocnej rozrywki. Wszyscy bez wyjątku bawią się ochoczo i radośnie.

Nie byłoby turnusu wczasowego bez ogniska i bez pieczonych kiełbasek. Wytworzył się już prawdziwy rytuał ogniskowo-kiełbaskowy. Pieczenie kiełbasek na długim patyku jest nieodzownym i głównym punktem programu każdego szanującego się ogniska w plenerze. Kto więc miał ochotę, ten wędrował wieczorową porą, ustalonego dnia i o ustalonej godzinie nad jezioro, by tam podjeść sobie ze smakiem i z... musztardą kiełbaskę „z rusztu" czyli z patyka w miłym towarzystwie. Impreza ogniskowa niestety nie zawsze się udawała. Czasami na przeszkodzie stała deszczowa pogoda i silny wiatr, czasami przeszkodził ciekawszy program telewizyjny a czasem taki zwykły brak chęci co już nieco dziwi. W rezultacie nigdy nie zawodziła jedynie żądna wrażeń dzieciarnia i mała grupka zagorzałych wielbicieli niegdysiejszych prawdziwych traperskich ognisk. Gdzie podziały się te dawne śpiewy, dowcipy, humor, opowiadania wędkarzy, myśliwych, grzybiarzy? Gdzie się podziały śpiewane na głosy kanony, harcerskie „płonie ognisko", „orły-sokoły", „na wójtowej roli" czy choćby zwyczajne „szła dzieweczka do laseczka"? Czyżby skończyły się czasy takich rozśpiewanych ognisk i to nie koniecznie z kiełbaskami na patyku? Może starszych już to nie bawi, a może są skrępowani śpiewając na „przedwojenną" harcerską nutę widząc pobłażliwe miny młodych, którzy wolą bardziej gorące rytmy, metalową muzykę i głośne dyskoteki? Dla nich takie sentymentalne ogniska to już przeżytek, wapno i archeologia, to prawie Park Jurajski. Taka to już jest

zwykła kolej rzeczy na tym świecie. Jest czas dla jednych, jest czas i dla drugich.

Bardzo ciekawym akcentem we wczasowym życiu było zorganizowanie sobotniej Mszy Świętej na świeżym powietrzu w łączniku między pawilonami. Była to bardzo miła niespodzianka dla wielu osób, które wzięły udział w tym niezwykłym zgromadzeniu. Znalazła się także grupa przemiłej młodzieży, która grając pięknie na gitarze i flecie, oraz śpiewając w sposób bardzo nowoczesny pieśni religijne — uświetniła przebieg tej naprawdę nastrojowej Mszy Świętej.

Wiadomo, że rytm dnia każdego wczasowicza wyznaczają godziny posiłków. Stołówka pęka w szwach, pracuje na trzy zmiany, tylu tu gości się stołuje. I tych z Ośrodka i tych „zewnętrznych". Kierownictwo przyjmuje wszystkich głodnych, zwłaszcza na obiady. Jedzenie jest w miarę dobre, w miarę obfite i w miarę urozmaicone, zwłaszcza przy pomocy najróżniejszych gatunków kiełbas, kiełbasek, parówek, szyneczek. Wegetarianie wyraźnie nie są tu w łaskach. Widać było niedostatek owoców i jarzyn. Mimo tych niedostatków jarzynowo-owocowych każdy czuł się usatysfakcjonowany. Pojadać zaś można sobie było w klubie — kawiarni, gdzie obfitość czekolady, lodów, chipsów, ciasteczek, kawy i herbaty i gazowanych napojów troszkę rujnowała rodziców mających potomstwo o wilczych apetytach.

Na ogół w Ośrodku jest cisza, spokój i prawdziwy relaks, jeśli nie liczyć naprawdę sporadycznych nocnych pohukiwań, śpiewów i rozhoworów nie pomnych na nocną ciszę „młodych i gniewnych". Jeśli nie liczyć mocowania się od czasu do czasu z silnikiem jakiegoś krążownika szos, który dodatkowo pozostawiał za sobą w czystym leśnym powietrzu ostry zapach spalin. A jeśli jeszcze nie będzie się pamiętać o nocnym poszczekiwaniu psiego towarzystwa czy o rozdzierającym płaczu dziecka, albo tępym odgłosie włączanego hydroforu przypominającego dźwięk zbliżających się bombowców — to w Czarlinie jest wspaniale. No bo któż by się przejmował tymi drobnostkami? Panująca tu swobodna atmosfera, czyste, leśne powietrze, wiaterek wiejący od jeziora, piękne widoki, śpiew leśnych ptaków, świergot jaskółek, które uwiły sobie gniazdka pod okapem jednego z pawilonów — wynagradzają całkowicie te chwilowe i przemijające niedociągnięcia oraz uciążliwości nienajlepszej pogody. A już wielka troskliwość i ogromne zaangażowanie obecnego Kierownika Ośrodka — pana Tadeusza Drzewieckiego, który chciałby aby wszyscy byli zadowoleni z wypoczynku (co by tu nie mówić dość słono opłacanego) jest przez wszystkich podziwiana i doceniana.

Miły wczasowiczu, doceń i to jeszcze, że jeśli wyjdziesz na daleki spacer poza ogrodzenie rozległego dworzyszcza leśnego to masz tuż przed sobą bór sosnowy, pełen poszumu wiatru w koronach drzew, umykające z pod nóg zwinne jaszczurki i polne myszki, skaczące beztrosko po gałęziach rude wiewiórki i przebiegające cichaczem ścieżkami Twojego spaceru — długonogie sarenki. Czyż to nie piękne? Rozkoszujesz się widokiem kwitnących wrzosów o niepojętych odcieniach fioletu, zrywasz usychające kwiaty i trawy na zimowe bukiety i myślisz o tym, że będą ci one przypominały te wszystkie chwile spokoju i leśnej ciszy spędzone u schyłku lata tu w Czarlinie.

Jadwiga LIPIŃSKA

Członek Zespołu Redakcyjnego

Organy Samorządu tworzone przez studentów Naszej Uczelni w drodze demokratycznych wyborów są jedynym, przewidzianym przepisami prawa, reprezentantem ogółu studentów. W myśl Regulaminu Samorządu Studentów Politechniki Gdańskiej wybory do poszczególnych organów odbywają się co dwa lata, a dana kadencja kończy się z dniem 30 listopada. Na Osiedlu Studenckim struktury samorządowe tworzą w poszczególnych akademikach Rady Samorządu Mieszkańców oraz Rada Osiedla Studenckiego składająca się z przedstawicieli wszystkich DS-ów. Na wydziałach wybierane są Wydziałowe Rady Samorządu oraz starostowie poszczególnych lat i grup. Najwyższym organem samorządowym jest Parlament Studentów Politechniki Gdańskiej. Składa się on z delegatów wszystkich Wydziałowych Rad Samorządu oraz z delegatów Rady Osiedla Studenckiego. Parlament na pierwszym posiedzeniu nowej kadencji wybiera spośród swoich członków przewodniczącego, a następnie na jego wniosek Zarząd Uczelniany Samorządu Studentów. Przewodniczący wraz z Zarządem Uczelnianym koordynuje działalnością wszystkich organów samorządowych, by jak najpełniej mogły wykonywać stawiane przed nimi zadania, czyli: — reprezentowanie interesów studentów, — współdziałanie z władzami uczelni oraz nauczycielami akademickimi w celu zapewnienia jak najwyższego poziomu kształcenia studentów i stworzenie im jak najlepszych warunków do zdobywania wiedzy i umiejętności, w tym także koniecznej pomocy materialnej, inicjowanie i wspieranie samopomocy studenckiej, w szczególności w zakresie wydawania drukiem pomocy dydaktycznych, — inicjowanie i wspieranie działalności naukowej, kulturalnej, wychowawczej, sportowej i turystycznej studentów uczelni, — decydowanie, na podstawie przepisów ustawy, o rozdziale środków finansowych, materialnych, lokalowych oraz innych, przeznaczonych przez organy uczelnina cele studenckie, — działanie na rzecz przestrzegania przez studentów zasad współżycia koleżeńskiego. Poza tym organy samorządowe mogą powoływać do poszczególnych zadań komisje. Do najwazniejszych z nich należą komisje stypendialne, które zajmują się przyznawaniem stypendiów socjalnych, naukowych oraz zapomóg, a także ustalaniem wysokości dofinansowania do miejsca w akademiku. W tym miejscu należałoby również wspomnieć o istnieniu odwoławczej komisji stypendialnej powoływanej przez Parlament Studentów, do której należy kierować wszystkie odwołania; decyzje komisji odwoławczej są ostateczne. Zachęcamy wszystkich, którzy chcą spróbować swych sił, a także pomóc innym, by zgłaszali się do członków samorządu na swoim wydziale lub w swoim akademiku. Więcej informacji na temat działalności samorządu, w celu uzyskania pomocy we wszystkich sprawach związanych z tokiem studiów i nie tylko można zgłaszać się do Sekretariatu Samorządu Studentów, który znajduje się w Gmachu Głównym, pokój 263, tel. (47).21.72., przy wejściu do łącznika z Gmachem B. Tu można znaleźć potrzebne materiały, kontakty. Sekretariat jest czynny codziennie w godzinach 10—14.

ZAPRASZAMY

Maciej DRĄG

Student Wydziału Zarządzania i Ekonomii

POLSKIE ŚLADY W SZKOCJI

St Andrews, to niewielkie miasto położone na wschodnim wybrzeżu Szkocji. Legenda głosi, że tu właśnie grecki mnich Regulus (IV w. n.e.) przywiózł szczątki św. Andrzeja, apostoła i brata św. Piotra. Kilka wieków później św. Andrzej został uznany patronem Szkocji (jest on także patronem Rosji), a krzyż w kształcie litery X, na którym był ukrzyżowany (bo nie czuł się godny umierać, jak Jezus Chrystus), znalazł się na szkockiej fladze. W średniowieczu St Andrews było ważnym ośrodkiem naukowym i religijnym. Tu założony został pierwszy szkocki uniwersytet (1411 r.), tu zbudowano kilka kościołów i klasztorów, tu także znajdowała się siedziba głównego biskupa Szkocji (jako „szczególna córa Kościoła", od końca XII w. Kościół szkocki podlegał bezpośrednio Rzymowi). W okresie walk poprzedzających ustanowienie narodowego Kościoła reformowanego (1560 r.) miasto było widownią wielu dramatycznych wydarzeń (palenie heretyków, zabójstwo kardynała Beatona czy oblężenie zamku przez oddziały angielskie).

Po Reformacji zaczął się upadek St Andrews. Z dawnej epoki świetności pozostał jedynie uniwersytet oraz ruiny zamku i katedry. Te ostatnie, położone nad samym morzem, sprawiają niezapomniane wrażenie, przyciągając liczne rzesze turystów.

Od połowy XVIII w. St Andrews zaczyna zdobywać sobie sławę jako siedziba towarzystwa miłośników gry w golfa (*The Society of St Andrews Golfers*, zał. 1754 r.). Osiemdziesiąt lat później patronat nad towarzystwem objął sam król William IV, nadając mu tytuł: *Royal and Ancient Golf Club of St Andrews*. W ten sposób szkockie miasteczko rozpoczęło swą karierę jako stolica światowego golfa. Status ten datuje się co najmniej od 1897 r., kiedy to wspomniany klub ustanowił Komisję Regulaminową, uznawaną dziś powszechnie jako najwyższy autorytet w sprawach dotyczących przepisów gry w golfa. Tutejsze pola golfowe, a zwłaszcza *Old Course*, przyciągają miłośników tej gry nawet z odległych krajów. W sezonie na ulicach St Andrews spotkać można co krok osoby różnej płci i wieku z przewieszonymi przez ramię torbami na kije golfowe, a znalezienie noclegu jest niezwykle trudne, choć oprócz kilku hoteli, co krok znajdują się informacje o pokojach do wynajęcia (*Bed & Breakfast*). W bezpośrednim sąsiedztwie słynnego *Old Course*, prawie na samym brzegu morza, ma swą siedzibę *British Golf Museum*, gdzie można zapoznać się z kilkuwiekową historią tej dyscypliny.

Dla mnie jednak najważniejsze w St Andrews były tutejsze polonica związane z pobytem polskich żołnierzy podczas II wojny światowej. Brytyjczycy przewidywali, że wobec nie osiągnięcia zamierzonych celów w wojnie powietrznej — hitlerowskie Niemcy dokonają inwazji na wschodnie wybrzeża Szkocji. W tym celu poczynione zostały staranne przygotowania do odparcia desantu wroga, a ważne zadania w tym planie przypadły stacjonującym w rejonie Perth oddziałom polskim. Ostatecznie, jak wiadomo, do desantu nie doszło, a jednostki Polskich Sił Zbrojnych wzięły udział w walkach na kontynencie, gdzie okryły się bojową sławą.

Po zakończeniu wojny wielu polskich żołnierzy pozostało w Szkocji. Część z nich trafiła tu już wcześniej w wyniku odniesionych ran. W Perth usytuowany był bowiem szpital Armii Polskiej. Na tutejszym cmentarzu znajduje się specjalny rejon z polskimi grobami. Ci, którzy przeżyli, przestawiali się na życie cywilne, podejmowali pracę, zakładali rodziny itd. Niektórzy wrócili do Polski, wielu jednak wybrało niełatwy los emigranta ...

Po upływie pół wieku pozostali już tylko nieliczni z nich. Należy do nich m. in. mieszkaniec St Andrews, pan **Władysław Maroński**. Gdy dowiedział się (od naszego wspólnego znajomego-Szkota), że mam zamiar odwiedzić to miasto, zaprosił mnie do siebie.

Wizyta ta umożliwiła mi zapoznanie się z historią popiersia **gen. Władysława Sikorskiego**, którego uroczyste odsłonięcie odbyło się niedawno właśnie w St Andrews. Projekt uczczenia pamięci Naczelnego Wodza powstał już 23 lata temu, kiedy to ówczesne władze polskie postanowiły ofiarować Uniwersytetowi w St Andrews popiersie Władysława Sikorskiego. Wybór miejsca nie był przypadkowy. To właśnie tutejszy Uniwersytet 11 listopada 1941 r. nadał gen. Władysławowi Sikorskiemu doktorat honorowy. Warto dodać, że wykład, który z tej okazji wygłosił dostojny doktorant, nosił tytuł: „Niemieckie prawo i niemieckie bezprawie", a poświęcony był porównaniu niemieckiej i brytyjskiej filozofii prawa. Dla Niemców mówił Sikorski — państwo stoi nad prawem, wykorzystując to ostatnie jako narzędzie przemocy. Natomiast Brytyjczycy wyznają zasadę, że prawo jest ponad państwem, stanowiąc konieczny warunek wszelkiej wolności w życiu społecznym.

W 1981 r. popiersie Generała (wykonane z brązu przez Oscara Nemona) było gotowe, ale wprowadzenie stanu wojennego przerwało przygotowania do wzniesienia pomnika. Zarówno strona szkocka, jak i tutejsza Polonia, odrzucały jakąkolwiek współpracę z ówczesnymi władzami polskimi. Popiersie Naczelnego Wodza trafiło do magazynu Uniwersytetu St Andrews, gdzie przeleżało ponad dziesięć lat. W listopadzie 1991 r., pod patronatem gen. Stanisława Maczka, zawiązał się Komitet, który postawił sobie za cel zebranie środków finansowych potrzebnych do wykonania cokołu dla popiersia W. Sikorskiego. Głównym organizatorem tego przedsięwzięcia był właśnie pan Władysław Maroński.

Pan Władysław mieszka w Szkocji od 1940 r. Jego losy były podobne do tych, które stały się udziałem wielu ówczesnych polskich patriotów. Jako łącznościowiec brał udział w wojnie obronnej 1939 r., następnie znalazł się na Węgrzech, gdzie trafił do obozu dla internowanych. Druga próba ucieczki okazała się udana i wkrótce był już we Francji, gdzie zgłosił się do polskich oddziałów formowanych przez gen. Sikorskiego. Po haniebnej klęsce Francji, W. Maroński wraz ze swymi towarzyszami broni przybył do nieznanej mu dotychczas Szkocji, która miała stać się jego drugą ojczyzną. Po zakończeniu II wojny św. pan Władysław osiedlił się w St Andrews, gdzie wkrótce zasłynął jako ogrodnik (był to jego zawód z cywila). Ożenił się z urodziwą Szkotką, z którą ma jedną, dorosłą już córkę. Obecnie jest na emeryturze, ale zdrowie mu dopisuje na tyle, że jest w stanie jeszcze prowadzić niewielki ogród, gdzie na własne potrzeby uprawia warzywa i owoce.

W trakcie swej opowieści pan Władysław pokazuje mi rejestr datków, które napłynęły nie tylko od szkockiej Polonii, ale także od wielu Szkotów. Jednak osoba Generała dodaje przy tym mój gospodarz nie jest znana większości tutejszego społeczeństwa. Imię Sikorskiego otrzymał jeden z nowszych typów brytyjskiego helikoptera, ale wiedza o tym wielkim Polaku jest tu niewielka. Dlatego pan Maroński postanowił napisać i wydać (własnym nakładem) broszurkę informującą o postaci Naczelnego Wodza. Nosi ona tytuł: *General Sikorski — Leader of the Fighting Poland*. Znajdują się w niej podstawowe dane biograficzne Władysława Sikorskiego, fragmenty jego wypowiedzi, opinie o nim (m. in. W. Churchilla), a także informacje o działaniach polskiej marynarki, lotnictwa i wojsk lądowych u boku zachodnich sojuszników podczas II wojny światowej. W swej broszurce W. Maroński zamieszcza również liczne zdjęcia Naczelnego Wodza oraz polskich żołnierzy przygotowujących się jesienią 1940 r. do obrony szkockiego wybrzeża.

Po przygotowanym przez pana Władysława obiedzie (zgodnie z tradycjami polskiej kuchni), jedziemy do centrum, gdzie w Kinburn Park znajduje się wspomniany pomnik gen. Sikorskiego. Na marmurowym cokole, na którym spoczywa popiersie Wielkiego Polaka, wyryte są słowa:

In Memory of General Sikorski
Soldier and Statesman
Commander in Chief
of the
Polish Armed Forces
During the Second World War
Perished at sea off Gibraltar
4th July 1943 [1]

ZA WOLNOŚĆ

Następnie udajemy się pod miejscowy ratusz, by obejrzeć kolorową mozaikę znajdującą się na ścianie miejscowego ratusza, ofiarowaną miastu St Andrews przez polskich żołnierzy.

Dziękuję panu Marońskiemu za gościnne przyjęcie i wsiadam w autobus do Perth, gdzie również znajdują się polskie ślady. Czasu mam już niewiele, bo jeszcze tego samego dnia muszę wracać do Aberdeen. Z pomocą pani z tutejszego Tourist Information udaje mi się jednak znaleźć budynek Rady Dystryktu Perth i Kinross, mieszczący się przy High Street. Znajduje się tu tablica pamiątkowa upamiętniająca pobyt żołnierzy polskich podczas II wojny światowej. Napis w języku angielskim głosi: *Presented by the General Commanding, Officers and Men of the 1-st Polish Army Corps in grateful Appreciation of the friend ship extended to them in the City and Country of Perth, where the Polish Troops, after undergoing trial and hardships, were able to rally and continue, with their allies, the fight for freedom and liberty 1940-1942* [2].

W King's College w Aberdeen, gdzie odbywałem mój staż, miałem okazję poznać dwóch Polaków. Jeden z nich, młodszy, **prof. Jan Deręgowski**, jest dyrektorem Wydziału Psychologii. Jego droga na emigrację wiodła przez obóz dla polskich dzieci zorganizowany na Bliskim Wschodzie przy armii gen. Andersa. Drugi rodak, liczący już sobie ponad osiemdziesiątkę, trafił do Brytanii jako żołnierz oddziałów Sikorskiego. **Dr Władysław Bednarowski** — bo o nim mowa — przez długie lata wykładał logikę na Uniwersytecie w Aberdeen. Przed wybuchem wojny pracował on na Uniwersytecie Jagiellońskim jako asystent wybitnego polskiego filozofa, Romana Ingardena, ucznia słynnego E. Husserla. W tutejszym środowisku akademickim dr Bednarowski cieszy się wielkim szacunkiem. Mimo sędziwego wieku, bierze on aktywny udział w zebraniach naukowych miejscowego Towarzystwa Filozoficznego. Jego przytulne mieszkanie pełne książek i namalowanych przez siebie obrazów (druga, obok filozofii, namiętność pana Władysława) bywa często odwiedzane przez stażystów z Polski. Dr Bednarowski przez wiele lat przewodniczył Kołu Polaków w Aberdeen. Dziś jednak już ono nie istnieje. Pytam o powód. „Ludzie poumierali" odpowiada lakonicznie pan Władysław.

Stefan ZABIEGLIK
Wydział Zarządzania i Ekonomii

[1] Pamięci Generała Sikorskiego, żołnierza i męża stanu, Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych podczas II wojny światowej, który zginął w morzu pod Gibraltarem 4 lipca 1943 r.

[2] Naczelne Dowództwo, oficerowie i szeregowcy I Korpusu Armii Polskiej w dowód wdzięczności za okazaną im gościnność przez miasto i hrabstwo Perth, gdzie polskie oddziały, po uciążliwej i pełnej trudów tułaczce, mogły zebrać się i z pomocą swych sojuszników kontynuować walkę o wolność i niepodległość 1940-1942.

Nakładem Wydziału Zarządzania i Ekonomii Politechniki ukazała się książka Stefana Zabieglika „Zarys historii Szkocji". Jest to pierwsza systematyczna historia Szkocji w języku polskim. Oprócz 281 stron tekstu, „Zarys" zawiera także kilkadziesiąt stron aneksów (tablica chronologiczna, tablice, drzewa genealogiczne i mapki). Książka wydana została w nakładzie 1000 egzemplarzy, a jej cena zbytu równa jest kosztom druku. Osoby zainteresowane tą pozycją mogą kontaktować się z sekretariatem Wydziału (tel. 25-81) lub autorem (tel. 27-75).

Co widać w Galerii Polibuda?

Wystawa rysunku Krzysztofa Wróblewskiego

Listopad jest miesiącem tworzącym szczególny nastrój przypominający o przemijaniu, o przeżywaniu czasu, istocie naszego bytu, o naszych śladach pozostawionych na ziemi, o przeznaczeniu, transcendencji etc.

Pomyślałem przeto, że może dobrze byłoby zaprezentować w ramach formuły „Politechniki Otwartej" twórczość plastyczną Krzysztofa Wróblewskiego, absolwenta Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku — dyplom w pracowni malarstwa prof. Kazimierza Ostrowskiego w 1987 r., a obecnie nauczyciela akademickiego z Wydziału Architektury i Wzornictwa Przemysłowego — młodego artysty, ale silnego myślą i aktywnego. Od 1986 r. Krzysztof Wróblewski miał już siedem wystaw indywidualnych i uczestniczył w dziesięciu znaczących na naszym rynku sztuki wystawach zbiorowych.

Sztukę Krzysztofa Wróblewskiego już u progu samodzielności, tuż po studiach, determinowały niepokoje i dążenia pokolenia lat osiemdziesiątych, atoli można było dostrzec w niej pewną odmienność myślenia artystycznego i filozoficznego. Jego świat stanowi przede wszystkim ludzki kosmos w starogreckim rozumieniu tej kategorii. W swej twórczości sięga spraw uniwersalnych, ogólnoludzkich dotyczących bezpośrednio człowieka i jego otoczenia. Prezentowane na wystawie rysunki odzwierciedlają właśnie świat wartości zewnętrznych i wewnętrznych. Odkrywają one widzowi mity i archetypy lub inaczej mówiąc, nasze dziedzictwo kulturowe — przedstawione symbolicznie, poczynając od nagiej postaci ludzkiej, poprzez określone formy fauny i flory, do atrybutów, jakimi są figury geometryczne i kolory.

Stosowana przez K. Wróblewskiego symbolika nie jest, co prawda, oryginalna, ale chodzi tu przecież o estetyczny wymiar rysunku, ekspresję i własny kanon. Wszystkie te elementy zostały zawarte w pokazanych pracach. Inspirują odbiorcę do refleksji nad kondycją ludzką, wartościami egzystencjalnymi czy też duchowymi, ciągłością kulturową. Są one odzwierciedleniem myśli o konieczności związania losu indywiduum z losem wspólnoty społeczności ludzkiej. Wydaje się, że Autor rysunków traktuje istotę ludzką jako personę zachowującą swą odrębność psychofizyczną, ale usytuowaną w uniwersalnym otoczeniu kulturowym, uwikłaną w Jungowskie archetypy.

Sztuka Krzysztofa Wróblewskiego, mimo niedużego doświadczenia artystycznego wykazuje się dojrzałością i filozoficzną mądrością.

Adam PAWLAK
Wydział Zarządzania i Ekonomii

SPOŁECZEŃSTWO WIRTUALNE

Państwową Galerię Sztuki w Sopocie w chłodne wieczory 18 i 20 listopada br. licznie odwiedziła trójmiejska młodzież artystyczna. Wydarzeniem były wykłady Margaret Morse, profesora Uniwersytetu Kalifornijskiego w Santa Cruz, specjalisty w dziedzinie teatru, filmu, telewizji i video-artu, których intrygujące tytuły spolszcza się z trudem. ART & VIRTUAL ENVIRONMENT; CYBERIA & THE VIRTUAL COMMUNITY. Wypowiedzi były obficie ilustrowane materiałami video, jednakże dawały jedynie ogólne wyobrażenie o omawianym zagadnieniu. Zabrakło prezentacji nowości-urządzenia do przeżywania nowego rodzaju doznań.

Amerykańska, a z pewnością i światowa kultura masowa jest w przededniu kolejnej rewolucji, którą spowoduje nowy produkt — modulator (head device) wirtualnej rzeczywistości. Ma on postać hełmu z systemem transmisji wrażeń wprost do narządów wzroku i słuchu, generowanych przez program komputerowy zgodnie z wolą użytkownika, który przekazuje dłonią polecenia komputerowi przy pomocy specjalnej rękawicy z przewodem połączeniowym. Oprogramowanie wykorzystujące zdobycze sztucznej inteligencji tworzy nie-rzeczywistość, nazywaną rzeczywistością wirtualną, oddziaływującą wszechstronnie i wszechmocnie na użytkownika. Przeżywa on na jawie to, czego naprawdę nie ma.*

Wykreowana przez operatora rzeczywistość wirualna może być oglądana fragmentarycznie przez innych za pomocą monitorów, a nawet specjalnych urządzeń budujących panoramiczny jej ogląd wokół widza — „podglądacza" wykreowanego przez kogoś świata nierzeczywistego. Zabawnie i złowróżbnie wygląda ów kreator — obserwując realne ruchy jego ciała, podsłuchując wydawane dźwięki, podglądajac kapiące spod modulatora prawdziwe łzy lub pot można zgadywać, w jakim świecie nie-realnym bytuje obecnie. Światów tych jest tyle na ile pozwala oprogramowanie i wyobraźnia eksperymentatora. A więc możliwa jest podróż np. do wnętrza własnego ciała, albo naokoło świata, dostępnym staje się spotkanie z fikcyjnymi postaciami filmowymi, ale także z autentycznymi postaciami dnia dzisiejszego lub przeszłości; można wziąć udział w toczącej się właśnie wojnie, lub posiąść intymnie niedostępną inaczej piękność; można odbyć safari lub uczestniczyć we własnym pogrzebie z obserwacją następujących procesów...

Ta zabawa dostępna będzie każdemu, kogo stać na modulator, PC i modem zapewniający połączenie poprzez sieć telefoniczną z centralną jednostką komputerową, o parametrach pozwalających na użytkowanie oprogramowania kreującego rzeczywistość wirtualną. Wprzęgnięty interakcyjnie w tę grę inteligentny komputer zastępuje partnera-człowieka, eliminując jego cielesną materialność jako niezbędny dotąd podmiot współprzeżywania czy też przedmiot pożądań. Człowiek staje się wolnym — wyzwolony od przymusu obcowania z drugim. Upowszechnienie tej „wolności" stworzy społeczeństwo wirtualne (virtual community), żyjące w przestrzeni konceptualnej (cyberspace), gdzie kontakty CMC (computer-mediated communications) istot ludzkich odbywać się będą za pośrednictwem przewodów, a spakietowane informacje w postaci bitów i bajtów będą mogły dotrzeć wszędzie, zawsze i na wieczność. Zniknie obawa o utratę pamięci, gdyż zastąpi ją mnemoelektroniczne rejestrowanie myśli, przeżyć, wrażeń i wspomnień na zewnętrznych nośnikach, składowanych po wsze czasy w supermagazynach Sieci (The Net).

Pani profesor Morse ilustrowała swój wykład obfitym materiałem filmowym; uniwersyteckie centrum rzeczywistości wirtualnej w Chapel Hill w Północnej Karolinie; eksperymentalne laboratoria w Karlsruhe; zastosowania w planowaniu przestrzennym, architekturze, inżynierii i psychiatrii; bezpieczny seks z cyborgiem płci dowolnej w wirtualnej scenerii; wykorzystanie kreacji wirtualnych w pop-kulturze, reklamie i programach telewizyjnych MTV; gry komputerowe z rzeczywistością wirtualną w Kalifornii. W Santa Monica do laboratorium sztuki wirtualnej mają wstęp bezdomni. Mogą sobie wykreować dom, w którym chcieliby brać poranny prysznic (SHower), korzystać z pralni (WASHing) i przechowuywać swój dobytek pod kluczem (LOCKer).

Tamtejsi homeless nie tylko dla przyjemności skorzystali z ucieczki w rzeczywistość wirtualną. Gdy już raz zasiedli przy komputerze i poznali zasady użytkowania e-mail, to i przystąpili do komunikowania się z realnym światem, a konkretnie z innymi użytkownikami sieci. Ich działanie nabrało charakteru społecznego, będąc swoistym lobbingiem we własnym interesie. Akcja ta pod nazwą SHWASHLOCK doczekała się już naukowego opracowania, a jej skutki zostały pozytywnie ocenione i zinterpretowane jako przykład powstawania społeczeństwa elektronicznego (electronic society), które kroczy ku elektronicznej demokracji (electronic democracy). Bezdomni otrzymują vouchery do pralni, łaźnia miejska specjalnie dla nich otwiera swoje podwoje wcześnie rano, aby mogli zaprezentować potencjalnym pracodawcom czyste oblicza, zaś zarząd fabryki mebli postanowił przekazać miastu schowki szatniowe na rzecz potrzebujących.

Sugestywne wykłady nie wzbudziły jednak żarliwej dyskusji. Cośkolwiek zdumieni słuchacze dali wyraz swoim niepokojom i ciekawości dopiero w bezpośrednich rozmowach z panią profesor. Być może mroźny wieczór i niezbyt ciepłe wnętrze sopockiej galerii ostudziły zapał ku tej nowej ofercie zza oceanu. Kiedy mijałem w drodze powrotnej dworzec sopocki, dostrzegłem w jego holu mężczyzn w różnym wieku układających się do snu na kamiennych parapetach. Dostęp do poczty elektronicznej też już mamy w Trójmieście, może więc...

** Słowo „modulator" wziąłem z Dobranocki, nadanej 21 listopada, gdzie Profesor i Brygada R.R. korzystali z hełmu-urządzenia o tej nazwie, służącego do dematerializowania i translokacji za pośrednictwem sieci telefonicznej.*

Waldemar AFFELT
Wydział Budownictwa Lądowego

1975 r.

1990 r.

1984 r.

Z Archiwum Kroniki Studenckiej

1981 r.

1979 r.

1975 r.

KRONIKA STUDENCKA

Z Archiwum Kroniki Studenckiej